

Rok XXVIII

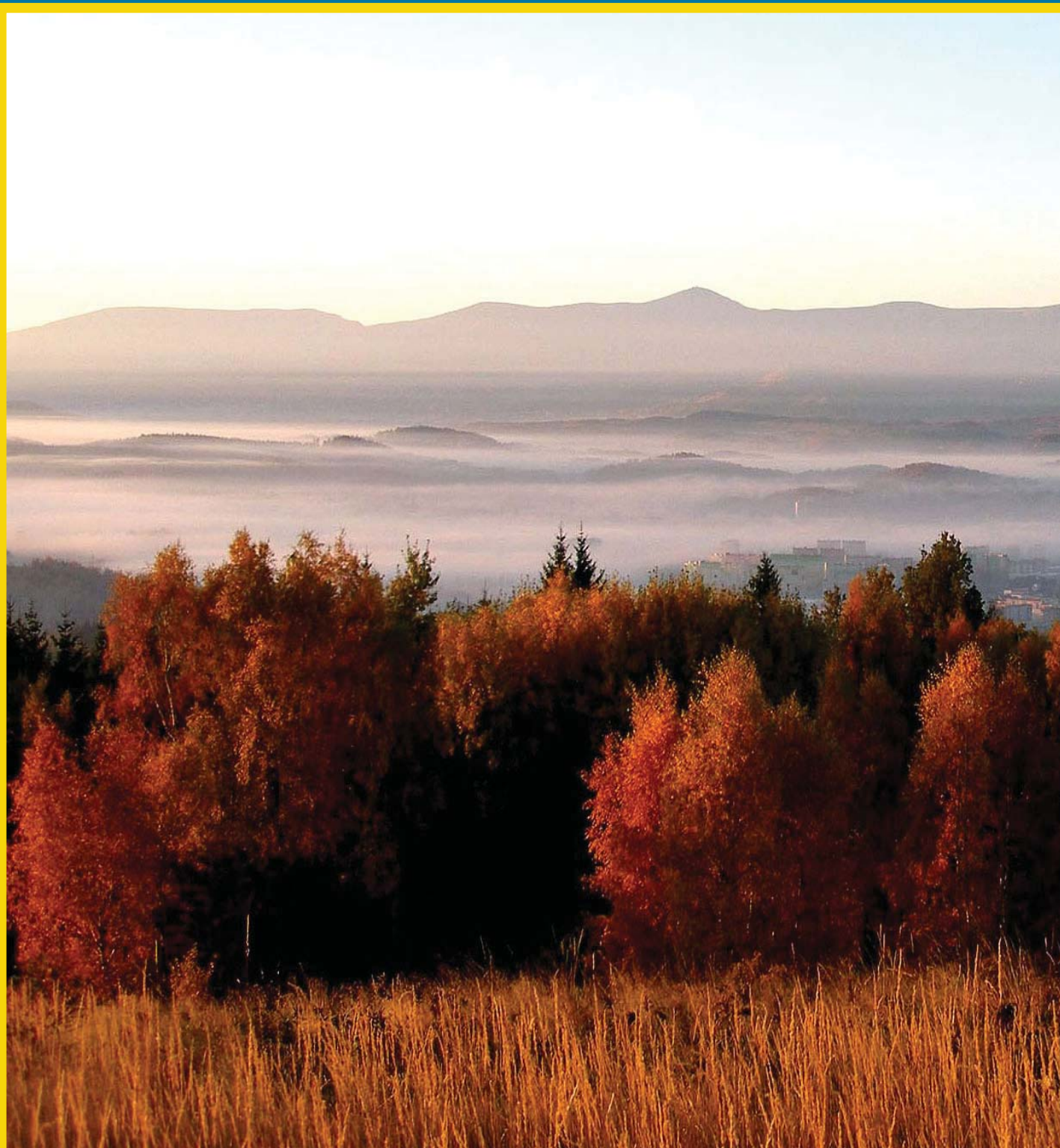
Nr e-96 (292)

Październik 2014

NA SZLAKU

Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego



Z NASZEGO REGIONU

Złota jesień wokół Szybowcowej i Stromca	<i>Krzysztof Gdula</i>	3
Sztolnie Kowary – Kopalnia Liczyrzepa	<i>LOT „Księstwo Świdnicko-Jaworskie”</i> ...	5
Tunel kolejowy pod Przełęczą Kowarską	<i>Zbigniew Piepiora</i>	6
Trójca – kto ją zna?	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	7
50-lecie odsłonięcia we Wrocławiu pomnika „Nasz los przestroga”	<i>Andrzej Rumiński</i>	8

OJCZyste SZLAKI

W 100. rocznicę wielkiej wojny (2)	<i>Andrzej Rumiński</i>	11
Dar szczególny i wspañały (10)	<i>Kazimierz Denek</i>	12

TRASA MIESIĄCA

Szlak Bitwy pod Legnicą	<i>Bartosz Skowroński</i>	15
-------------------------------	---------------------------------	----

GLOBTROTER

Ping’an – górskie pola ryżowe	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	18
Antarktyczny Great Wall	<i>Zbigniew Sobierajski</i>	20
O Bałtyku i jego mieszkańcach z dziewięciu państw	<i>Ambroży Grzenia</i>	22
wspomnienie	<i>Joanna Pociask-Karteczka</i>	23
Kijowskie mikrominiatury	<i>Janusz Fuksa</i>	24

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Bielsko-bialskie obchody	<i>UM Bielsko-Biała</i>	26
Odpustowa msza na Śnieżce	<i>Zbigniew Piepiora</i>	26

PORADNIK TURYSTY

Schroniskowe modernizacje	<i>Juliusz Wysłouch</i>	27
---------------------------------	-------------------------------	----

NA KOLEKCJONERSKIM SZLAKU

Pamiętka z Lurystanu	<i>Sobiesław Mazurski</i>	29
Tatrzańskie przyziemie – case study	<i>Joanna Pociask-Karteczka</i>	29

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Polski chemik Wojciech Świętosławski	<i>Janusz Fuksa</i>	30
--	---------------------------	----

RECENZJE, NOWOŚCI

Po południowym skraju Śląska	<i>K.R.M.</i>	32
Katalog kamiennych pamiątek	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	32
Nowe mapy	<i>Redakcja – A.R.</i>	33
Dzieje Kowar. Zarys monograficzny do 2010 r.	<i>Zbigniew Piepiora</i>	34

LISTY, OPINIE, DYSKUSJE

Reportaż z Kaszub	<i>Janusz Zaremba</i>	35
Będzie tramwaj na Jaworzynie?	<i>Juliusz Wysłouch</i>	37

**Na okładce: Panorama Karkonoszy ze Śnieżką ze Stromca w Górach Kaczawskich.
Fot. Krzysztof Gdula**

Złota jesień wokół Szybowcowej i Stromca

Na szczyt Góry Szybowcowej, na którym było lotnisko, prowadzi szosa. Jest tam też parking. Wokół wiele zaznaczonych drózek, kilka innych gór, wśród nich Stromiec, na który chciałem wejść od chwili zobaczenia tej góry po raz pierwszy. Od razu miałem plan wyprawy: zobaczyć wschód i zachód Słońca ze szczytu Szybowcowej, wejść na Stromiec, poznać pobliskie ścieżki.

Kwadrans przed siódmą byłem na parkingu przy lotnisku szybowcowym, założyłem na siebie osiemnaście swetrów, wziąłem plecak i poszedłem na wschodni stok góry. Ponad niebieskim zarysem gór Eos rozgarniała czyste, na szczęście, niebo swoimi różowymi dłońmi, a na prawo, w Kotlinie Jeleniogórskiej, leżała niska mgła, ponad którą wystawały, niczym zjawy oderwane od ziemi, szczyty wieżowców i kominów. Po drugiej stronie Kotliny ciemniał długi, pozbawiony szczegółów, pofałdowany łańcuch Karkonoszy. Jedynie stożek Śnieżki rozpoznałem na tle ciemnego z tamtej strony nieba.

Słońce wyskoczyło szybko zza grzbietów górskich, czyste, jasne, wesołe, hojnie rozdając swoje barwy niebieskiemu światu w dole. Mgły zapłonęły mleczną poświatą, ściana Karkonoszy zmieszała róż ze swoją niebieskością, a zielone jeszcze trawy zbocza góry zabarwiły się kolorami wczesnego słońca – miedzi i ciemnych bursztynów. Wspaniale wyglądały ostatnie języki mgły sięgające zbocza góry Polna na wprost, poniżej Słońca: jakby ścigały się z prześwietlającymi je promieniami Słońca w biegu ku Ziemi, same świecąc perłowym światłem.

Poszedłem tam łagodnym zboczem wprost na Słońce z zamiarem dojścia do góry Polna. Doszedłem, chociaż raczej nie najkrótszą drogą – i takie też było niemal całe moje dzisiejsze wędrowanie. Szedłem trochę według mapy, trochę na oko wybierając drogę, cały czas kierując się zasadą wędrowki otwartymi przestrzeniami. Gdy ścieżka skręcała w las, porzucałem ją idąc polem lub zawracałem i na rozdrożu wybierałem inną. Szedłem oszołomiony urokiem tego słonecznego dnia najpiękniejszej jesieni, tej jesieni, o której marzymy, a która trwa tak krótko, czasami tylko parę dni. Niemal każde drzewo pyszniło się paletą najcieplejszych barw, a klony... klony oszałamiały swoim królewskim, pysznym, świecącym złotogłowiem. Stawałem przy nich i patrzyłem w niemym zachwycie, tylko czasami pojawiała się we mnie powracająca w takich chwilach myśl – zdumienie właściwie – nad rozrzutnością Natury, która królewskim gestem rozrzuca wokół skarby tak, jakby miała ich niewyczerpane zapasy.

Obszedłem Szybowcową szerokim łukiem dochodząc do wsi Płoszczyna, a idąc między domami próbowałem znaleźć drogę prowadzącą łąkami po zboczu Stromca. Za budynkami widziałem jakieś dróżki, ale która z nich doprowadzi mnie blisko szczytu? Zapytałem o to mężczyznę pracującego w ogródku, odpowiedział, ale najpierw zapytał, po co chce iść na tę górę, skoro nic tam nie ma; powiedziałem prawdę: że nie byłem tam i dlatego. Gdy odchodziłem, dobiegło mnie jego powtórzone pytanie:

- Ale po co pan tam chce iść? Tam nic nie ma!

- Po skarby – odpowiedziałem mu w myśli, bo chyba tylko w taką odpowiedź uwierzyłby.

Szedłem pod górę kamienistą dróżką wśród łąk,



Chrośnickie Kopy ze zbocza Stromca



Stromiec

nami niepotrzebującymi dróg, które widuje się w tych górach dość często. Byłem zadziwiony umiejętnościami kierowców. Kiedyś trochę jeździłem motocyklem, stąd wiedziałem, że przy stromym podejściu nieopatrne najechanie przednim kołem na jeden z tych sporych kamieni grozi poderwaniem maszyny w górę i niebezpieczny upadek, stoczenie się w dół. A w niektórych miejscach musiałem iść bokiem, na kantach butów, bo wszak nie ma tam żadnego utrzymanego szlaku.

Z porośłego lasem szczytu nie ma widoku, ale jest tam długa, pionowa, bardzo malownicza skała o wysokości do 10 m, podobna nieco do ścian Głazów Krasnoludków w Górach Kamiennych. Od wschodniej strony jest ona niższa, można bezpiecznie na nią wejść, co też zrobiłem. Idąc wąskim grzbietem skał nie widzi się ich wysokości, bo grzbiet też zarośnięty jest drzewami, ale gdy zrobi się krok w bok, ziemia pod nogami nagle się kończy. Urokliwe miejsce, w słońcu piękne. Z góry schodziłem południowym zboczem, a po wyjściu z lasu trafiłem na szutrową dróżkę ze znakami czarnego szlaku rowerowego – jedną z najładniejszych drózek, jakie poznałem w Kaczawskich. Polecam każdemu, kto odwiedzi te góry: łączy Jeżów Sudecki z Płoszczyna.

Tym szlakiem wróciłem do wsi, znalazłem drugą drogę, prowadzącą na północne zbocze Szybowcowej, a w miarę zbliżania się do niej zwalniałem, bo, jak zwykle, szkoda mi było wracać. Już z daleka widziałem szeroki, trawiasty pas na zboczu, a nad nim kolorowe skrzydła paralotni. Nigdy nie widziałem startujących paralotniarzy, nie miałem pojęcia jak oni podnoszą swe skrzydła, jak zaczynają lot; na razie idąc pod górę patrzyłem na ich lot i na lądowanie. Wydawało się to proste: wisi w uprząży i pociąga za lewe lub prawe linki. A jak hamują? – zastanawiałem się.

Blisko szczytu zobaczyłem, jak startują, a zobaczywszy, byłem zadziwiony precyzją wykonania skrzydła i wiedzą do tego potrzebną. To skrzydło, tak wielkie przecież, było lekkie, a wystarczyło je, rozłożone na trawie, energicznie pociągnąć, by w skomplikowany system kanałów weszło powietrze podnosząc całość w górę. Czary. Czary i ludzki geniusz wspomagany odwiecznym pragnieniem latania. Jaka szkoda, że Dedal nie mógł zobaczyć takich skrzydeł! Może uratowałby życie syna?



Na zboczu Szybowcowej

ku szczytowej stromiznie pokrytej lasem, mając wokół siebie zielony i słoneczny przestwór. Siedziałem na miedzy, jadłem kanapki, piłem kawę i gapilem się. Gapilem się w permanentnym dzisiaj stanie nienasyceń urokiem złotej jesieni.

Dróżka urwała się przy drzewach, ale dalej widać było dziwną ścieżkę. Jakby niewydeptana była, a... wyjeżdżona. Na tych kamieniach? Na osuwającej się ziemi, przy kącie nachylenia przekraczającym miejscami 40°? – dziwiłem się. Im wyżej byłem, tym bardziej utwierdzałem się w swoim wniosku: tędy wjeżdżano na górę motocyklami, tymi specjalnymi maszynami

Ale wtedy nie byłoby mitu i tyluż obrazów przedstawiających jego upadek. Na lotnisku zobaczyłem rozpędzanie szybowców po zboczu przy pomocy wielkiej gumki (chyba nie od majtek, ta była sporo grubsza) oraz ich lądowania. Także śliczny, klasycznego wyglądu, dwuosobowy samolotek niemieckiego pilota, który obleciał nim niemal całą Ziemię. Może też poleciałbym...

- *Ile kosztuje taki samolot?* – zapytałem kogoś z obsługi.

- *Nowy? Pół miliona, używany ze 150.* – usłyszałem i tak rozwiały się moje chwilowe plany latania.

Ee, nie ma co, benzyna taka droga... – pocieszyłem się i poszedłem do baru zapytać o zupe, bo cały dzień jadłem tylko kanapki.

Promienie słońca przebiegły po zboczu, liznęły ścianę drzew i uciekły w górę. Świat ucichł, kolory najpierw stały się bardziej nasycone, później poczęły ciemnieć, szarzeć, aż w końcu od dołu wypełnił mrok otulający wszystko wokół. Stałem na skraju lotniska i patrzyłem na kończący się dzień.

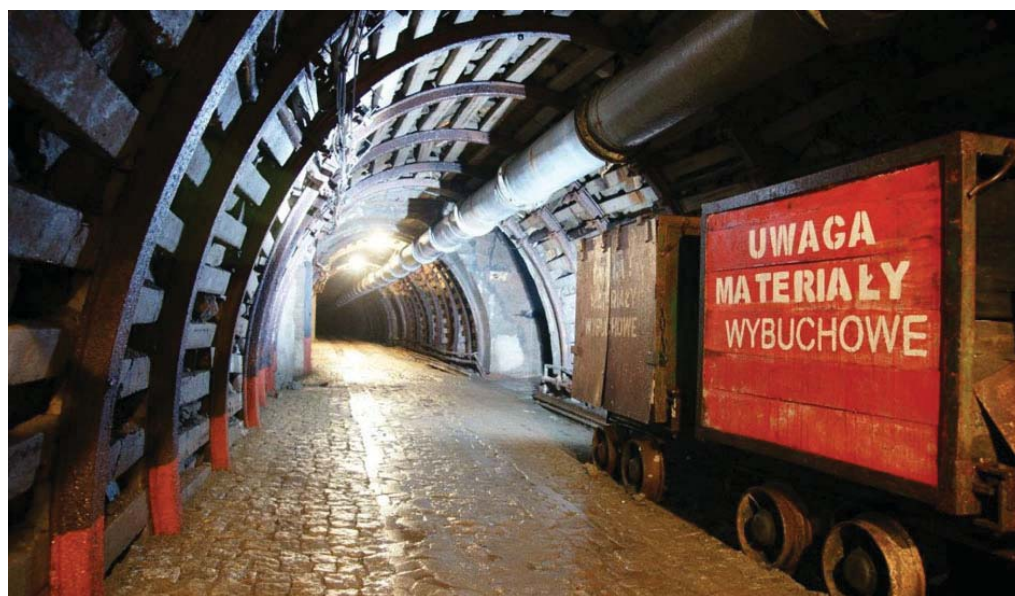
Krzysztof Gdula

Sztolnie Kowary – Kopalnia Liczyrzepa



Księstwo Świdnicko-Jaworskie
Lokalna Organizacja Turystyczna

Miłośników spotkań z historią zapraszamy do odwiedzin podziemnej trasy turystycznej „Sztolnie Kowary – Kopalnia Liczyrzepa”, zlokalizowanej w dawnej kopalni uranu „Podgórze” w Kowarach. Trasa liczy około 1200 m chodników, komór i grot wydrążonych we wnętrzu



góry Sulica, dominującej nad kowarskim osiedlem Podgórze. Zgromadzono w niej eksponaty z podziemnego świata legend, tajemnic i historii, związanej przez blisko 700 lat z poszukiwaniami kruszców, minerałów oraz wydobywaniem rudy żelaza i rud uranowych.

W sztolniach zwiedzający przyjrzeć się mogą ciężkiej pracy górników, zapoznać się z procesem pozyskiwania i transportu

urobku, a także doświadczyć emocji, które towarzyszyły pracy w kopalni. Zwiedzając „Skarbiec Walonów” zobaczymy skarby, które kryje Ziemia, czyli minerały, kamienie szlachetne, różnego rodzaju kruszce i kopaliny. W „Kapliczce św. Barbary” będziemy mogli oddać się przemyśleniom nad niesamowitością podziemnego świata, natomiast w „Komorze Laborantów” zapoznamy się z pracą dawnych zielarzy, przygotowujących różnorodne mikstury z karkonoskich ziół. W „Przedsionku Tartaru” znajdziemy drzwi, których – jak głosi legenda – lepiej nie otwierać. Na zakończenie wycieczki zwiedzający będą mogli spróbować „Potencjałki” – wody, którą jako dar natury dla kowarskich gwarków pozostawił w sztolniach sam mityczny Priam. Szczegóły dotyczące zwiedzania podziemnej kopalni znajdują się na stronie www.sztolniekowary.com.

„Sztolnie Kowary – Kopalnia Liczyrzepa”, ul. Podgórze 55, 58-530 Kowary, tel. 75-752-84-58.

Godziny otwarcia: XI–III 10-16, IV–VI 9-17, VII–VIII 9-18, IX–X 9-19.

Bilety: 24/20 zł

LOT „Księstwo Świdnicko-Jaworskie”

Tunel kolejowy pod Przełęczą Kowarską

Tunel kolejowy w Kowarach jest jednym z najdłuższych tego typu obiektów w Polsce. Przebiega pod Przeł. Kowarską (727 m), która łączy Karkonosze z Rudawami Janowickimi. Jego długość wynosi według różnych szacunków od 1011 m do 1027 m. Tunel prowadzi z Kowar do Ogorzelca. Obecnie nie kursują nim pociągi. Tunel jest częścią pierwszej linii kolejowej w Karkonosze, którą ukończono w 1882 r. Było to połączenie z Jeleniej Góry do Kowar przez Mysłakowice (około 15 km). Przedłużono je później do Kamiennej Góry (około 25 km). Połączenie służyło m.in. do transportu rudy żelaza bezpośrednio z kopalni „Wolność” (*Freiheit*), przy której zlokalizowano stację kolejową Kowary Górne. Pełne zakrętów, wąwozów i nasypów oddano je do użytku w 1905 r., wykuwając uprzednio tunel kolejowy. Połączenie zelektryfikowano w 1932 r. Po II wojnie światowej wojska radzieckie zdemontowały na mocy porozumienia rządowego trakcję elektryczną na linii nr 308 (Jelenia Góra – Kowary – Kamienna Góra), zabierając również niezbędną infrastrukturę. Na trasę powróciły parowozy.

Linii nr 308 nie udało się ponownie zelektryfikować. Pod koniec XX w. zaczęto na niej demontować tory kolejowe wiodące do zakładów przemysłowych. Zlikwidowano w ten sposób przewozy towarowe. Połączenie Kowary – Kamienna Góra zamknięto dla ruchu osobowego w 1986 r. Była to pierwsza linia kolejowa, którą zamknięto dla przewozów osób w Kotlinie Jeleniogórskiej. Linię Kowary – Mysłakowice zamknięto dla ruchu osobowego w 2000 r. Od 2007 r. linia nr 308 ma status czasowo zawieszony dla ruchu. W tym czasie w tunelu kolejowym i jego okolicy zaczęły znikać tory. Do 2014 r. z linii nr 308 ukradziono kilometry szyn.

Obecnie torowisko znajduje się pod ścisłym nadzorem Stowarzyszenia Kolej Karkonoska oraz Służby Ochrony Kolei, zaś okoliczni mieszkańcy często wykorzystują tunel kolejowy jako skrót między Kowarami i Ogorzelcem. Odradzam jego zwiedzania, jednak osoby tym zainteresowane muszą się do tego odpowiednio przygotować – należy się ciepło ubrać, posiadać latarkę (wskazana czołówka) i nieprzemakalne buty.

Zwiedzanie tunelu kolejowego można rozpocząć na kilka sposobów. Można zejść na Przeł. Kowarską żółtym szlakiem z Okraju (1046 m) w Karkonoszach (1.15 godz.) lub ze Skalnika (945 m) – najwyższego szczytu Rudaw Janowickich (1.45 godz.). Można także na nią wejść, idąc z centrum Kowar niebieskim szlakiem (1.45 godz.). Najłatwiej jest przyjechać drogą wojewódzką nr 367, wiodącą z Jeleniej Góry do Wałbrzycha, i zaparkować samochód na Przeł. Kowarskiej lub poprosić kierowcę autobusu relacji Jelenia Góra – Kamienna Góra o zatrzymanie się na owej przełęczy, aby tam wysiąść. Potem należy pójść kilkadziesiąt metrów w stronę Kowar i skrócić w lewo na „drogę głodu”, która przebiega nad tunelem.

Zbudowano ją w latach 1855-1857, prowadząc z Kowar do Kamiennej Góry, i nazwano „drogą głodu”, gdyż podczas jej wykowania podstawową zapłatą za dzień pracy był bochenek chleba (wartości 50 fenigów) i przeciętnie 40 fenigów w gotówce. Podobną drogę zbudowano m.in. w Szklarskiej Porębie. „Drogi głodu” były wynikiem programu robót publicznych władz pruskich, który prowadzono, aby przeciwdziałać wielkiemu głodowi w połowie XIX w. W jego ramach budowano górskie „drogi głodu”, aby ulżyć cierpieniom ludności z górskich miejscowości.

Schodząc „drogą głodu” z Przeł. Kowarskiej, po



Tunel kolejowy pod Przeł. Kowarską zimą

kilkudziesięciu metrach skręcamy w prawo na pełną drogę. Schodzimy nią około 100 m, po czym skręcamy w lewo. Idziemy ścieżką. Jeśli po kilkudziesięciu metrach nie trafimy na most nad torami kolejowymi, to na pewno trafimy na linię kolejową. Schodzimy na tory i skręcamy w lewo w stronę tunelu kolejowego. Po kilku minutach jesteśmy na miejscu. Przejście tunelu trwa około 15 min. Po około 5 min marszu tunelem natrafiamy na strumyk, spływający po prawej stronie. W połowie tunelu nie widać ani jego wlotu, ani wylotu z niego. Panuje tu całkowita ciemność, gdyż tunel poprowadzono po łuku. Po wyjściu z drugiej strony można pójść dalej – pozostałością linii nr 308 – do Ogorzelca. Można także wrócić tunelem, a dalej torami do Kowar, przy czym latem należy uważać na żmije.

Zbigniew Piepiora

Trójca – kto ją zna?

Na pewno niewiele osób, w tym wąskie grono historyków i regionalistów. A warto, choć to średniej wielkości wieś, niepozorna niby, leżąca we wschodniej części Równiny Zgorzeleckiej. Zabudowania powstały w niewielkim oddaleniu od szosy (obecnie) Zgorzelec – Lubań, na Łużycach Wschodnich. Trudno powiedzieć, kiedy Trójca powstała, bowiem osadnictwo w tym rejonie sięga odległej prehistorii. Świadczy o tym choćby fakt, że murowany kościół wzniesiono już w połowie XIII w., niewykluczone, iż na miejscu jakiegoś starszego, drewnianego. To przecież pradawny „korytarz” migracyjny, trasa, którą chyba Bolesław Chrobry przeciągał w walkach o Milsko – późniejsze Łużyce Górne.

Właśnie ów kościół, późnoromański, z sylwetki przypominający raczej gotyckie świątynie, jest owym szczególnym walorem krajoznawczym wsi. Należy on do cenniejszych budowli tego stylu w Polsce południowo-zachodniej. Świadczą o tym liczne detale, w tym łukowo zakończone otwory okienne i półkolistą absyda. Nie ma tu wieży, jest za to wysoka, smukła sygnaturka pośrodku kalenicy, zakończona jednoprześwitowym hełmem.

Innym walorem, niematerialnym wszakże, jest wielki syn tej wsi – Walenty Trotzendorf. Właściwie jako Friedland urodził się tu 14.02.1490 r. w niezamożnej rodzinie rolniczej. Bardziej znane nazwisko przybrał on od średniowiecznej wersji nazwy swojej miejscowości. Będąc „pokonany” przez większą skłonność syna do nauki niż do pracy w gospodarstwie i pod wpływem żony, ojciec wysłał go w końcu do szkoły łacińskiej w Zgorzelcu. Chłopiec w domu uczył się pisania trzcinką, maczaną w atramencie robionym z sadzy i wodzoną po brzoźowej korze. Odziedziczenie mająteczku umożliwiło mu od 1513 r. dalszą naukę w Lipsku, po której wrócił jako nauczyciel do nadnyskiego miasta, gdzie został nawet rektorem gimnazjum. Jego znajomość języków starożytnych i zainteresowanie rozpoczynającą się luterzańską Reformacją zwróciła nań uwagę Filipa Melanchtona – współtwórcy zmian w Kościele zachodnim. Powiedział on, że Trotzendorf urodził się na nauczyciela, jak Scipio na wodza. Po studiach w Wittenberdze, jako już dojrzały ewangelik, dotarł do Złotoryi, organizując tu nowoczesne na owe czasy gimnazjum jako jego rektor i znakomity pedagog. Ściągała tu młodzież nie tylko ze Śląska, ale i z Polski, Litwy, nawet z Węgier i innych krajów. Jednym z założeń nowego podejścia do nauczania i zarazem wychowania było zarzucenie traktowania uczniów w zależności od stanu społecznego i zamożności. Niestety, katastrofalny pożar Złotoryi w 1554 r., w wyniku którego gimnazjum przeniósł do Legnicy, planując zresztą powrót. Jednak śmierć w





książęcej stolicy 26. kwietnia dwa lata później uniemożliwiła to, przypieczętowując równocześnie koniec sławnej już wtedy placówki. Trotzendorf miał na łożu śmierci powiedzieć: *A teraz zostałem zawieszany do innej szkoły.*

Jego rodzinny dom wznosił się niedaleko wspomnianej drogi, 300 m na zachód od skrzyżowania, jednakże nocą 1.05.1884 r. spłonął. Na 400-lecie urodzin Trotzendorfa ustawiono na tym miejscu bazaltowy obelisk z wykutym napisem: *Geburtstätte Valentin Friedland, genannt Trotzendorf, Rektor zu Goldberg, geb. am 14. Februar*

1490, gest. am 26. April 1556, otaczając go żeliwnym ogrodzeniem. Po 1945 r., jak wiele innych obiektów pomemieckich, został zniszczony przez polskich osadników. Jakiś czas temu odnaleziono jednak zachowaną większą część z inskrypcją i za zgodą katolickiego już proboszcza ustawiono za kościołem, po jego południowej stronie. O ile z Złotoryi postać tego znakomitego i zasłużonego ewangelickiego pedagoga jest dobrze upamiętniona przez współczesnych mieszkańców, którzy znają ją coraz lepiej, to o Trójcy mało kto słyszał. A poznał??

Krzysztof R. Mazurski

50-lecie odsłonięcia we Wrocławiu pomnika „NASZ LOS PRZESTROGĄ”

Wsobotę 11.05.1985 r., pracując przy odnowie Kopca Józefa Piłsudskiego w Krakowie, zostałem przedstawiony i miałem okazję poznać starszą panią – Zofię Pilatową, szwagierkę zamordowanego przez Niemców we Lwowie 4.07.1941 r. prof. Stanisława Pilata. Jego nazwisko jest wymienione wśród dwudziestu czterech innych osób na pomniku „NASZ LOS PRZESTROGĄ”, stojącego koło Politechniki Wrocławskiej i poświęconego zamordowanym profesorom lwowskim na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie. Na niedzielę 12 maja pani Zofia zaprosiła mnie do siebie na herbatkę. Poszedłem z bukietem kwiatów i w rozmowie dowiedziałem się, że jej siostra została we lwowskim więzieniu wielokrotnie zgwałcona przez rosyjskich żołdaków. Tuż po wojnie przyjechała do Wrocławia i rozpoczęła pracę na Uniwersytecie. Wkrótce zorientowała się, że w wyniku tych gwałtów została zakażona chorobą weneryczną. Z rozpacz popłynęła samobójstwo skacząc z okna uczelni na bruk. Syn pani Zofii – Tadeusz, od wielu lat mieszka w Szwecji w miejscowości Lanckrona i jest aktywnym działaczem polonijnym.

Po powrocie do Wrocławia przesłałem pani Pilatowej w liście tekst przemówienia prof. Stanisława Kulczyńskiego – pierwszego rektora polskiego Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, wygłoszonego 3.10.1964 r. podczas odsłonięcia wrocławskiego pomnika. Tekst cytuję poniżej:

Pomnik, który odsłonimy za chwilę, jest uczczeniem pamięci wszystkich pracowników nauki, którzy w ciemnych latach okupacji 1939–1945 padli ofiarą hitleryzmu. Jest tych ofiar kilka tysięcy, a wśród nich kilkaset osób, które trwale i zaszczytnie zapisały swoje nazwiska w światowej twórczości naukowej. Pomnik jest formą trwałego hołdu, jaki składa polski świat naukowy, a wraz z nim całe społeczeństwo, ofiarom faszystowskiego barbarzyństwa. Jest on protestem przeciwko ponurym siłom, które sponiewierały godność ludzką i usiłowały wdeptać w ziemię najwyższe wartości, jakie reprezentuje nowa myśl społeczna i sprzymierzona z nią nauka. Pomnik powstał z inicjatywy wrocławskiego ośrodka naukowego. Inicjatywa ta

spotkała się z uznaniem wszystkich wyższych uczelni i instytutów naukowych w kraju. Projekt wrocławski przerodził się w zamierzenie ogólnopolskie i dzisiaj — w dwudziestym roku Polski Ludowej — znajduje swą realizację.

Uroczystość dzisiejsza ma być ostrzeżeniem przeciwko odradzaniu się tych sił, które spowodowały gehennę ludzką, jaką była ostatnia wojna. Uroczystość dzisiejsza odbywa się we Wrocławiu, kolebce polskiego ruchu pokoju. Odbywa się w mieście, gdzie 16 lat temu, na Światowym Kongresie Intelektualistów, padły ze strony przedstawicieli kultury i nauki polskiej i światowej pierwsze apele w obronie powszechnego pokoju międzynarodowego.



Pomnik „Nasz los przestroga” z 29.06.2005 r.

Pomnik staje we Wrocławiu, naukowej stolicy ziem zachodnich. Staje on w mieście, które zostało potwornie zniszczone przez ostatni kataklizm wojenny, — w mieście, którego nauka polska wkroczyła w tym samym dniu, w którym ludowa władza polityczno-administracyjna objęła Wrocław — po wiekach odłączenia — w macierzyste posiadanie. Pomnik wznosi się na tym terenie miasta, na którym szaleńcza ręka hitlerowska — w czasie beznadziejnej obrony oblężonego Wrocławia w roku 1945 — wyburzyła kosztem wielu istnień ludzkich dzielnicę mieszkaniową dla stworzenia lotniska. Pomnik stoi na ziemi przesiąkniętej krwią ofiar faszyzmu — w pobliżu polską ręką wzniesionych nowych gmachów Politechniki.

Nauka polska poniosła w ostatniej wojnie olbrzymie straty. Zniszczone zostały bezcenne zbiory naukowe, biblioteki, archiwa, muzea, instytuty badawcze i szkoły wyższe.

Najbardziej niepowetowane straty poniosła nauka polska w ludziach. Z klęski tej zdołaliśmy się nie tylko podnieść, ale — w ciągu dwudziestolecia powojennego — rozwój badań naukowych, produkcję wydawniczą i szkolnictwo wyższe doprowadzić do stanu, jaki nie miał dotąd miejsca w naszym kraju. Fakt ten dowodzi żywotności i prężności nauki i kultury polskiej i świadczy o niespożytych wartościach twórczych naszego narodu. Zagospodarowaliśmy od podstaw ziemie zachodnie pod względem naukowym i kulturalnym. Nie przyszliliśmy tutaj na nic gotowego. Zastaliśmy bowiem w nauce i kulturze ruiny i zgliszcza podobne jak w rolnictwie i przemyśle.

Wszystko, co ożywia ziemie zachodnie, jest naszym dziełem. Dzisiaj uczelnie Wrocławia, z ich macierzą — Uniwersytetem, idą w pierwszym szeregu polskich szkół wyższych. Wkład ośrodków naukowych ziem zachodnich do polskiej nauki jest wielki i wartościowy. Na ziemiach zachodnich wcześniej niż gdzie indziej związaliśmy naukę z potrzebami przemysłu i rolnictwa. Uczelnie nasze uczestniczą twórczo w budownictwie Polski socjalistycznej. Kształcą się tutaj tysiące studentów, a liczne szeregi absolwentów Wrocławia zajmują odpowiedzialne stanowiska w życiu państwowym.

Pomnik zostaje odsłonięty i oddany Miastu w posiadanie w przededniu dwudziestej rocznicy wyzwolenia Wrocławia, w chwili, gdy na wyższych uczelniach rozpoczyna się dwudziesty rok akademicki w Polsce Ludowej. Pomnik ten winien przemawiać do młodzieży akademickiej. Powinien przypominać i uczyć. Przypominać, że uczeni polscy zginęli na posterunku jako reprezentanci polskiej nauki, którą faszyzm hitlerowski postanowił doszczętnie wytępić. Powinien uczyć wytrwałości w walce o najwyższe wartości ludzkie, które reprezentuje budująca pokój i sprawiedliwość społeczną Polska socjalistyczna i służąca Prawdzie — Nauka.

Obywatele!

Zbrodnia zostawia ślady, które uczą i oskarżają. W odległej Hiroszynie uderzonej pierwszym pociskiem atomowym zburzone zostało miasto i bez śladu zginęło 140 000 ludzi. Ale na ocalałym fragmencie muru zachował się i ocalał niezwykły i niezatarty cień – materialny cień unicestwionego materialnie człowieka. Cień ten krzyczy ustami unicestwionych ludzi i ostrzega. Zbrodnia hitlerowska dokonana na naszym narodzie rzuciła niezatarty cień na duszę i świadomość naszego narodu. Cień ten krzyczy i ostrzega. Pomnik poległych w walce z faszyzmem uczonych polskich, który odsłaniamy, jest również cieniem. Jest on wizją artystyczną



Przy odnowie Kopca na Sowińcu 11.05.1985 r.: w pierwszym rządzie pierwsza od lewej Zofia Pilatowa, trzeci – autor tekstu oraz grupa kolegów z KOR i NSZZ „Solidarność”.

sceny – jednej z wielu tysięcy scen, jakie rozegrały się pod ścianami śmierci w okupowanej Polsce i daleko na wschód, aż po pola Stalingradu, i blisko na zachód, aż po nasze, grunwaldzkim zwane, pole we Wrocławiu, gdzie wbity został sztandar zwycięstwa. Pomnik nasz jest wizją sceny, jaka rozegrała się 4 lipca 1941 roku pod ścianą śmierci w piaskowni na Wólce we Lwowie.

Jakkolwiek odległa jest ta chwila, pamiętam imiona i widzę oblicza kolegów moich i przyjaciół, którzy stanęli pod ścianą śmierci w piaskowni lwowskiej. Pamiętam słowa i myśli, które łączyły mnie z nimi w jedno z najżywoźniejszych środowisk naukowych w Polsce. Poznałem ich twarze i słyszę ich krzyk. Imieniem tych ludzi otwierałem 18 lat temu Uniwersytet i Politechnikę we Wrocławiu. Miałem ich mandat. Byłem jednym z Nich. Widzę, jak osuwa się na kolana i wali w rów ostatni rektor lwowski Roman Longchamps i trzech jego synów, dziekan Ostrowski i jego żona, dziekan Rencki i chirurg Dobrzaniecki, internista Grek i jego żona, i osiemdziesięcioletni Sołowij i jego wnuk Mięśowicz, i pediatra Progulski i jego syn, stomatolog Cieszyński i rektor Sieradzki, i dziekan Nowicki i jego syn, i położnik Mączewski, i Henryk Hilarowicz, i okulista Grzędzielski, i ksiądz Komarnicki, i Stanisław Ruff i jego żona, i jego syn, i Boy-Żeleński, i Edward Hamerski, i matematyk Ruziewicz, i ekonomista Korowicz, i Kazimierz Bartel, i matematyk Łomnicki, i Kasper Weigl i jego syn, i Włodzimierz Stożek i dwóch jego synów, i profesor Krukowski, i Kazimierz Vetulani, Roman Witkiewicz i Stanisław Pilat.

Nie pozostał po tych ludziach ani ślad, ani grób. Ostał się cień. Patrzcie i odkryjcie głowy – zobaczycie za chwilę ich cień na tle jasných murów zbudowanej polskimi rękami Politechniki”.

Przed pożegnaniem się, pani Zofia Pilatowa obdarowała mnie obrazkiem MB Ostrobramskiej z Wilna. Mam go do dziś z jej dedykacją. Zmarła w Szwecji u syna.

Andrzej Rumiński



Camping nr 42 PTTK
48-385 Otmuchów, ul. Plażowa 6
tel. 077/431-52-25
www.camping-otmuchow.pl
e-mail: camping.otmuchow@wp.pl

Wędrując z plecakiem pamiętajmy o tych miejscach!

W 100. rocznicę wielkiej wojny (2)

14 X 1914. Naczelny Komitet Narodowy wysłał tego dnia następujący telegram:

„Komendant Józef Piłsudski - 1. pułk Legionów polskich. W imieniu i na podstawie jednomyślnej uchwały N. K. N. przesyłamy Komendzie i żołnierzom 1. pułku Legionów wyrazy serdecznego podziękowania, uznania i szczerzej dumy z powodu walecznego męstwa, jakim 1. pułk Legionów dotąd się odznaczył w boju z odwiecznym wrogiem. Honor Polski walczącej zajaśniał przez 1. Pułk Legionów nowym blaskiem.

Prezdydum Naczelnego Komitetu Narodowego”.

19 X 1914. UTARCZKI KAWALERJI POD RUSZCZĄ, KOPRZYWNICĄ, GNIEWOSZOWICAMI, SZEWCAMI, SAMBORCEM.

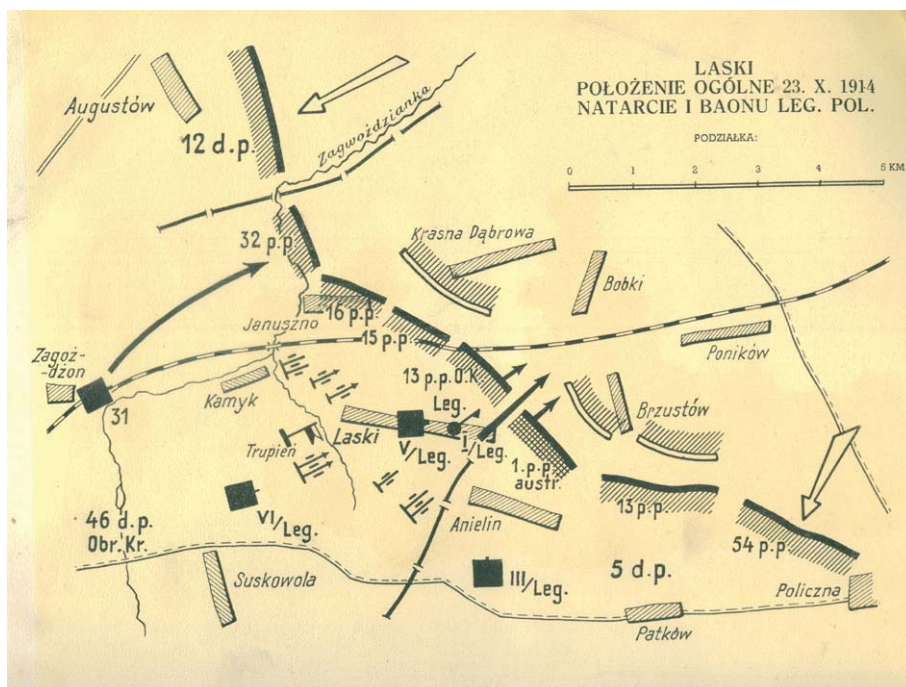
21 X 1914. AKCJA ZWIADOWCZA 3 KOMPANJI III BATALJONU (1 KADROWEJ) NA GARBATKĘ.

22 X 1914. BOJE PRZESŁANIAJĄCE* POD TRUPIENIEM, PŁACHTAMI (V i VI BATALJON), SUSKOWOŁĄ I PIONKAMI (I i III BATALJON), KONCENTRACJA I i V BATALJONU W LASKACH. BÓJ POD ANIELINEM III BATALJONU, SKIEROWANEGO TAM PO CHWILOWYCH WALKACH PRZESŁONOWYCH CELEM PRZEPROWADZENIA PRZECIWNATARCIA NA ZAGROŻONYM PRZEZ DWA BATALJONY ROSYJSKIE ODCINKU. WALKA, STOCZONA W LESIE, OBFITOWAŁA W KRYTYCZNE MOMENTY I W REZULTACIE DOPROWADZIŁA DO UMIEJSCOWIENIA NATARCIA ROSYJSKIEGO. BATALJON PONIÓSŁ DUŻE STRATY.

*** PO DŁUGICH MARSZACH, MIAŁA NASTĄPIĆ OFENSYWA W KIERUNKU WISŁY. NA ROZKAZ DOWÓDZTWA I. KORPUSU, MIAŁO NASTĄPIĆ PRZEGRUPOWANIE ODDZIAŁÓW DO NATARCIA. PRZEGRUPOWANIE TO NA DOŚĆ SZEROKIM ODCINKU PRZESŁANIAJĄ ODDZIAŁY PIŁSUDSKIEGO.**

23-26 X 1914. Szkic Nr. 2. LASKI

BÓJ POD LASKAMI. PO STOPNIOWEJ KONCENTRACJI, ROZPOCZĘTEJ JESZCZE 22. X, ODDZIAŁY GRUPUJĄ SIĘ W LASKACH, PRZYZCZEM POSZCZEGÓLNE BATALJONY WCHODZĄ W BÓJ. W BOJU TYM PO RAZ PIERWSZY BIORĄ UDZIAŁ PRAWIE WSZYSTKIE ODDZIAŁY PIŁSUDSKIEGO (I, III, V, VI i BATALJON UZUPEŁNIAJĄCY). BÓJ TEN, PROWADZONY Z DUŻYM NAPIĘCIEM WOLI, POD OGNIEM ARTYLERJI ROSYJSKIEJ, POMIEJSCOWYCH PRZECIWUDERZENIACH, PRZYBIERA W NASTĘPNYCH DNIACH CHARAKTER WALKI POZYCYJNEJ. NA SKUTEK NIEPOWODZEŃ SĄSIEDNICH ODDZIAŁÓW AUSTRIACKICH I PRZEWAGI SIŁ ROSYJSKICH, NASTĘPUJE ODWRÓT. ODDZIAŁY LEGJONOWE



PONIOSŁY W BOJU TYM POWAŻNE STRATY, SZCZEGÓLNIJE OD OGNIARTYLERJI ROSYJSKIEJ.
23 X 1914. POTYCZKI II BATALJONU I KAWALERJI POD ZDUNAMI, BOLIMOWEM I ŁOWICZEM, IV BATALJONU POD BUDAMI.
24 X 1914. POTYCZKI POD MAURZYCAMI (II BATALJON) I NIEDABYLEM (IV BATALJON).
25 X 1914. POTYCZKA POD BUDAMI MICHAŁOWSKIMI ORAZ UTARCZKI KAWALERJI POD GIECZNYM I WŁADYSŁAWOWEM.
27 X 1914. UTARCZKI II BATALJONU POD TOPOLĄ KRÓLEWSKĄ I TUMMEM.
28 X 1914. POTYCZKI POD GOSTKOWEM (I BATALJON) I TUREM (II BATALJON).
30 X 1914. POTYCZKA II BATALJONU POD GLINNYM.

Cdn.

Na podstawie „ILUSTROWANA KRONIKA LEGJONÓW POLSKICH 1914-1918” mjr dypl. Eugenjusz Quirini i kpt. Stanisław Librewski. Tłoczono w Drukarni Narodowej w Krakowie 1936.

Opracował
Andrzej Rumiński

Dar szczególny i wspaniały (10)

W nadwiślańskim grodzie księcia Sambora II

*Ziemio, ty najbliższa,
Jak przyjaciel rękę podasz.
Ziemio naszych ojców,
Tyś uśmiechem zawsze młoda.
Ziemio, tyś potrzebna,
Jak powietrze i jak woda*
Roman Landowski

Tczew jest miastem mojej wczesnej młodości. Pobyt w nim najlepiej oddają wersety Słowackiego z pieśni i poematu *Beniowski*:

*Każdy z nas miał kraj młodości szczęśliwy,
Kraj, co się nigdy w myślach nie odmienia.*

Nadwiślański Tczew należy do miast atrakcyjnych, najbardziej socjalnych, rodzinnych, bezpiecznych, zadbanych, gościnnych i nowoczesnych. Utrzymuję z nim, regionem, a zwłaszcza Szkołą, której jestem absolwentem, ścisły kontakt. Goszcząc w Tczewie 7.09.1995 r. z okazji półwiecza Zespołu Szkół Ekonomicznych w Tczewie, wpisałem się do książki pamiątkowej Szkoły. Nadałem mu tytuł *Wspomnienia utrwalające wartości poznawcze*. Byłem uczniem Szkoły jubilatki w latach 1949-1953 oraz nauczycielem przedmiotów ekonomicznych (arytmetyka gospodarcza, ekonomika handlu, księgowość, planowanie i statystyka) w roku szkolnym 1957/1958. Tutaj jako uczeń wstąpiłem do Koła Krajoznawczego Młodzieży Szkolnej Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, którego byłem przewodniczącym w latach 1950-1953. Jako nauczyciel zorganizowałem tu Szkolne Koło Krajoznawczo-Turystyczne PTK im. B. Dybowskiego, którego byłem opiekunem. W latach 1957-1958 byłem prezesem założonego przeze mnie Koła PTTK nr 8 oraz sekretarzem Oddziału PTTK w Tczewie. Stąd wziął się początek mej już 65-letniej służby społecznej w różnych ogniwach szkolnego ruchu krajoznawczo-turystycznego, PTK, PTTK i PTSM.

Współczesnej mojej Szkoły nie mogłem poznać. Została w istotny sposób odrestaurowana. Dysponuje dobrze wyposażonymi w środki dydaktyczne salami i nowoczesnymi pracowniami komputerowymi. Mieści się w niej nowoczesne w treściach, metodach i formach Centrum Kształcenia Ustawicznego – Centrum Edukacji Dorosłych w Tczewie. Prężnie nimi kieruje dyrektor mgr Iwona Malmur. Owocnie rozwija się współpraca CKU-CED z Wyższą Szkołą Morską, Uniwersytetem Gdańskim i Politechniką Gdańską. Powstały tu punkty konsultacyjne tych Uczelni. Dzięki nim młodzież z Grodu Sambora na miejscu może zdobywać wiedzę na poziomie zawodowych studiów wyższych. Czym jest dla mnie ta

nowa Szkoła? Jest przede wszystkim dynamiczną kontynuatorką aktywności mojej starej, poczciwej *budy*. Jest nie tylko istotnym, szczegółem odnotowanym w życiorysie, lecz czymś więcej niż Szkołą, która dała pełne wykształcenie średnie. Rysuje mi się jakaś wielka, choć niewymierna wartość, czymś, co się szczególnie ceni i obdarza szczerym sentymentem, miłym wspomnieniem i szacunkiem. Szkole tej zawdzięczam wiele. Cenię ją przede wszystkim za to, że nauczyła rozmowy jako sztuki słuchania innych, obserwacji i wnioskania. Silnie przeżywam niezwykłość chwil pobytu w mej Szkole. Fakty, zjawiska, zdarzenia i procesy, które wiążą się z tą Szkołą, są teraz bogatsze i ciekawsze o lata, które je dzielą. Jest to perspektywa czasu, na którą spoglądam z zadumą... *Lato, zaczekaj chwilę* – woła K. I. Gałczyński za uciekającymi dniami, na jego życzenie ono powraca. Wspomnienia to jakby powtórne przeżycia tego, co było, niekiedy nawet wielokrotnie silniejsze. Przeżycia, które z każdym dniem stają się wspomnieniem, są jedną z najmocniejszych więzi. Wymiana wspomnień utwierdza nas w przekonaniu, że należymy do jednej wielkiej rodziny. Wdzięczny jestem za to spotkanie i wspomnienia. Utrwalają one wartości ponadczasowe. Życzę Centrum Edukacji Dorosłych w Tczewie ustawicznego pomnażania dotychczasowych dokonań w edukacji dorosłych Grodu Sambora i jego regionu.

W czasie sześcioletniego pobytu w grodzie Sambora Wisła stała się moją rzeką domową. Kojarzyła mi się z dużą Ojczyzną, z wędrówką od gór do morza, od czasów dawnych do współczesności. Doszukiwałem się w niej symbolu, świadka zmiennych dziejów narodu i Tczewa, o wiele bardziej krętych niż ona sama od swych źródeł w wykapach Baraniej Góry do ujścia w Bałtyku. Przychodziłem nad nią często. Obserwowałem ją, kiedy ledwo ocknęła się ze snu spowita jeszcze mgłą poranną. Podziwiałem ją w złotym blasku wschodzącego słońca. Pogodne niebo z księżycem i gwiazdami przeglądało się w cichej, błękitnej tafli uśpionej Wisły. Wśród uroczystej ciszy dolatywały dalekie odgłosy szczekania psów i rozmów rybaków. Udało mi się z nimi nawiązać bliższe kontakty. Opowiadali mi, jak dawniej po Wiśle pływały szkuty, komiędzy, galery, dubasy, łyżwy, byki i kozy. Chętnie oglądam je podczas pobytu w Tczewie w Muzeum Wisły. Wspominam, jak w Kole Krajoznawczym Młodzieży Szkolnej PTK Liceum Administracyjno-Handlowego w Tczewie uczyłem się wiersza Hieronima Derdowskiego: *Tom, gdzie Wisła od Krakowa*, który jest hymnem kaszubskim. Pamiętam swój pierwszy przyjazd do Tczewa od strony Malborka, zwłaszcza, jak pociąg, niby ptak prujący powietrze, przebiegł po wyniosłym moście nad szeroką doliną. W dole ujrzałem płową Wisłę, tulącą się nad jej wybrzeżem domy jak kurczęta pod kokoszą, piętrzące się wieżycy świątyń, wybiegające nad sędziwy gród Sambora, niczym duch panujący nad zgiełkiem mrowiska ulicznego. Taki obraz Tczewa zachował się w moim umyśle i sercu po dziś dzień.

Jestem dumny, że władze samorządowe i mieszkańcy nadwiślańskiego Grodu Sambora II nadały mi w 1996 r. tytuł *Znamienitego Tczewianina*, a dwa lata później godność Honorowego Obywatela Miasta Tczewa *za niezwykłą twórczość i wybitne osiągnięcia naukowo-dydaktyczne, turystyczno-krajoznawcze oraz promowanie miasta Tczewa w kraju i za granicą*. Odbierając w dniu 19.06.1998 r. tę godność powiedziałem:

*Dostojni Panowie
Przewodniczący Rady Miejskiej i
Prezydencie Miasta Tczewa,
Mile Panie Radne,
Szanowni Panowie Radni
nadwiślańskiego Grodu Sambora,
Honorowi Obywatele Miasta Tczewa,
Zacni Mieszkańcy prastarego Tczewa!*

Z głębokim wzruszeniem i estymą stoję przed społecznością Tczewa z jej władzami: Radą Miejską z przewodniczącym Panem Mirosławem Ostrowskim i Prezydentem Miasta Panem Zenonem Odyą na czele. Pierwsza moja myśl, pierwsze uczucie, pierwszy poryw to wyrazić szczerą, głęboką wdzięczność za zaufanie, przyjaźń i dostrzeżenie tego, który wyszedł z Tczewa, swojej małej Ojczyzny i powędrował w poszukiwaniu swego miejsca i drogi życia w Polsce.

Z wdzięcznością wspominam tczewski okres swojej biografii. Tutaj wiele dokonało się w moim życiu. Uzyskałem maturę i bardzo dobre podstawy do studiów, a po ich odbyciu w czasie pracy nauczycielskiej w Technikum Ekonomicznym motywację do pogłębienia teorii i praktyki pedagogicznej. Stąd wyniosłem zaciekawienie, zainteresowanie i zamiłowanie do edukacyjnego krajoznawstwa i turystyki. Traktuję je jako sposób: zaspokojenia ciekawości Kraju i Europy, widzenia siebie i innych. Uprawianie krajoznawstwa i turystyki jest dla mnie uczestnictwem w kulturze, ruchu umysłowym

niedającym się dzielić na przedmioty szkolne ani dyscypliny naukowe. Obie sfery aktywności ułatwiają mi formowanie osobowości młodzieży i studentów we wspólnocie z przestrzenią, zielenią, błękitem i dałą. Z czasem coraz więcej one mówią. W formie wycieczek, zajęć terenowych i wędrówek przybliżam młodzieży i studentom małe Ojczyzny (Tczew także). Dzięki nim młodzież szkolna i studencka lepiej rozumie sens zawarty w słowie Polska, swej dużej Ojczyzny. Ten styl edukacji młodego pokolenia nawiązuje do przesłania honorowego obywatela miasta Tczewa – śp. księdza prof. dra hab. Janusza Pasierba, w którym podkreśla się, że małe *ojczyzny uczą żyć w ojczyznach wielkich, w wielkiej ojczyźnie ludzi*.

W Grodzie Sambora spotkałem wielu życzliwych, mądrych szlachetnych ludzi, którzy pomogli mi stać się tym, kim jestem. Najwięcej zawdzięczam moim Nauczycielom z Technikum Handlowego oraz Cioci i Wujciowi z Domu Dziecka. Tczew stanowi wciąż dla mnie Ojczyznę najbliższą. Jest miastem, do którego przychodzi mi potrzeba serca. Potwierdza się tu znana sentencja Adama Asnyka, że *przeszłość nie wraca jak żywe zjawisko w dawnej postaci – jednak nie umiera*.

Dziękuję z całego serca Radzie Miejskiej, Zarządowi Miasta Tczewa za wyróżnienie mnie najwyższą godnością tego Miasta. Dziękuję Komisji Promocji Miasta i Klubowi Ludowo-Regionalnemu Rady Miejskiej z ich przewodniczącymi w osobach Panów Józefa Ziółkowskiego i Kazimierza Ickiewicza oraz Pani Leonory Lewandowskiej, dyrektor Zespołu Szkół Ekonomicznych w Tczewie, którzy wystąpili do Rady Miejskiej o nadanie tytułu Honorowego Obywatela Miasta Tczewa. To zobowiązuje.

Wyraz dziękuję to ponoć najtrudniejsze do wymówienia słowo w naszym języku. Mnie wychodzi lekko i radośnie, bo płynie nie z ust, lecz z głębi serca. Jestem bardzo zaszczycony ponownym przyjęciem do *tczewskiego domu*. Jestem szczęśliwy. Warto w tym miejscu przypomnieć słowa Rabindranatha Tagore – R. Thakura (1861-1941), poety, prozaika, filozofa, myśliciela indyjskiego, twórcę w języku bengalskim, a także kompozytora i malarza, uhonorowanego w 1913 r. literacką Nagrodą Nobla:

Spałem i śniłem, że życie jest radością.

Obudziłem się, i zobaczyłem, że życie jest służbą

Zacząłem służyć i zobaczyłem, że służba jest szczęściem.

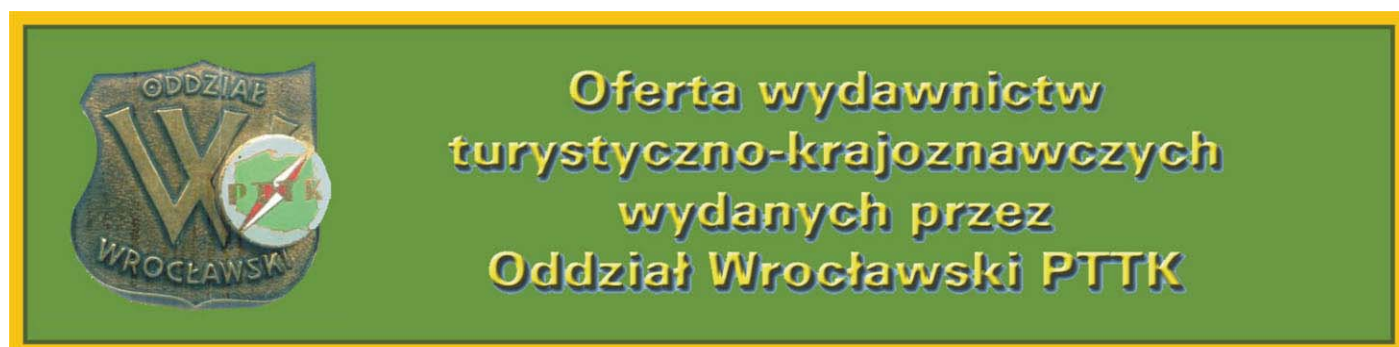
Pragnę jeszcze lepiej służyć Miastu, które ofiarowało mi godność Jego Obywatela.

W tej tak wielkiej, tak pięknej dla mnie chwili, zwracam się myślą i sercem do moich tczewskich nauczycieli, tych sprzed pół wieku i obecnych; Koleżanek i Kolegów z ławki szkolnej, do tych mieszkańców nadwiślańskiego Grodu Sambora, którzy oddali i oddają swemu miastu najlepszą, najcenniejszą część życia. Jestem wśród nich, jestem wśród Was. Pragnę, żeby dzisiejsza piękna uroczystość była również nią dla Was. Jesteście jej współtwórcami. Jest ona Waszą zasługą.

W motcie tego tekstu pióra śp. Romana Landowskiego z jego *Kantaty Tczewskiej* autor, mój młodszy kolega z Technikum Handlowego w Tczewie, wyraża przywiązanie do naszej wspólnej, tczewskiej małej Ojczyzny, jej piękna krajobrazu jako jednego z podstawowych zadań edukacji, kultury, krajoznawstwa i turystyki. Przywiązanie to ma wiele aspektów. Można o nim powiedzieć, jak o miłości, że nie jedno ma imię. Tak jak ona jest bezinteresownym darem, który wyzwala empatię, altruizm, chęć służby i bycia sobą. Człowiek, który żyje w niej, rozwija się, poznaje swoją niepowtarzalność. Dzięki temu nabywa zdolność do akceptacji odmienności innych. Zyskuje odpowiedzialność za kształtowanie siebie i właściwe relacje z otoczeniem. Trzeba się jej uczyć. Wymaga to wrażliwości, uwagi, czujności, spostrzegawczości, cierpliwości, ufności, wolności od uprzedzeń i zaniechania. Podjęcie tego trudu jest warte zachodu i niezbędne w społeczeństwie cywilizacji wiedzy. Ten dar wyniosłem z małej Ojczyzny, której na imię Tczew. Pielęgnujmy go!

Cdn.

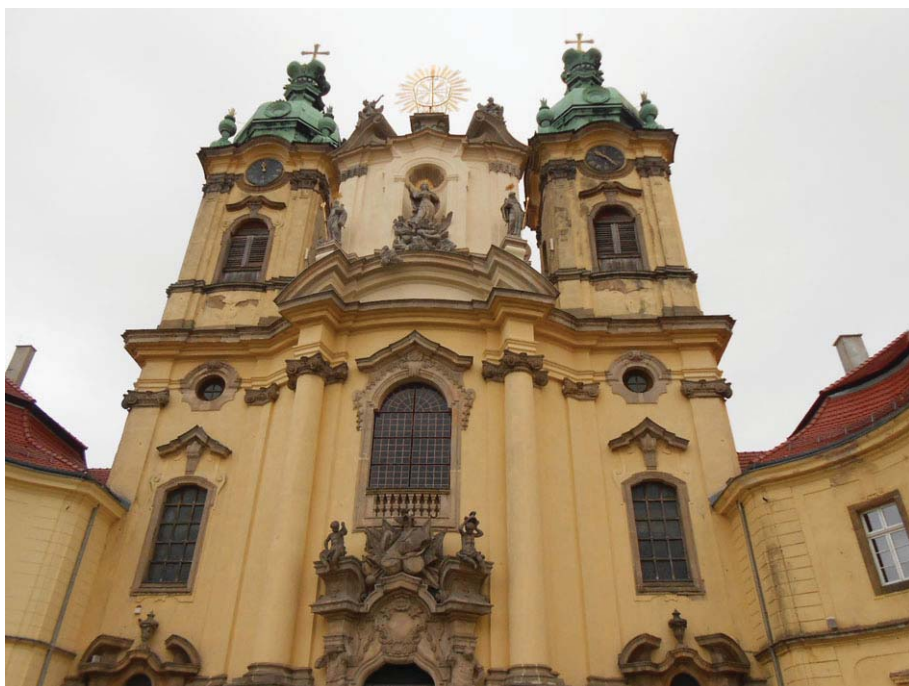
Kazimierz Denek



Szlak Bitwy pod Legnicą

W dniu 9.04.1241 r. blisko Legnicy według tradycji miała miejsce bitwa między wojskami śląskimi księcia Henryka Pobożnego, wspomaganego innymi oddziałami, a Mongołami. Książę poległ w niej, jednak przyjęło się, że to ta bitwa zatrzymała najazd na Europę. Ma więc swoje ważne miejsce w historii. Niezależnie od tego wielu historyków kwestionowało i kwestionuje nawet sam fakt bitwy. Nie da się jednak ukryć. Z bitwy tej słynie ziemia legnicka. Swoistym śladem pamięci o tym wydarzeniu jest tytułowy, znakowany kolorem czerwonym, Szlak Bitwy pod Legnicą. Tak najczęściej się o nim mówi, choć można spotkać i nazwę Szlak Bitwy 1241 r. Ta bardzo łatwa trasa prowadzi z Legnicy do Legnickiego Pola, licząc 12,3 km. Taki przynajmniej jej kierunek i kilometrąż podany jest w wykazie szlaków znakowanych przez PTTK. Niniejszy opis jest niejako „pod prąd” – z Legnickiego Pola do Legnicy. Z logistycznych względów dla wielu turystów łatwiej będzie zakończyć wycieczkę w Legnicy. Czas samego marszu, potrzebny na przebycie tej prowadzącej na pograniczu Przedgórze Sudeckiego, Niziny Śląsko-Lużyckiej i trochę Niziny Śląskiej, trasy w opisywanym kierunku wynosi 2.40 godz.

Początek szlaku w Legnickim Polu znajduje się przy dawnym kościele Trójcy Świętej i NMP. Dziś mieści się tu Muzeum Bitwy pod Legnicą. Przy nim start swój ma nie tylko czerwony szlak. Mamy tu również początek zielonego Szlaku Tatarów i żółtego Szlaku Wygasłych Wulkanów. Czerwonemu towarzyszy na sporym odcinku, nieco iluzorycznie, ten pierwszy. Początkowo szlak wiedzie turystę w stronę dawnego zespołu klasztornego. Skręcając zaraz w lewo pozwala nacieszyć oko okazałym gmachem dawnego klasztoru i tuż obok piękną elewacją kościoła Podwyższenia Krzyża Świętego i św. Jadwigi Śląskiej. Tym, którzy znają ziemię broumovską w Czechach, warto powiedzieć, iż działający tam w XVIII w. Kilian Ignaz Dientzenhofer, patronujący jednej z ulic w Legnickim Polu, był również projektantem tej świątyni. To jeden z najcenniejszych kościołów przedpola Sudetów. Ciekawa jest nie tylko jego elewacja, ale i wnętrza. Wprost perła baroku. Mając ją w zasięgi ręki nie można jednak nie spojrzeć na inne, okazałe zabudowania tej *de facto* przypominającej małe miasteczko wsi. Pięknie prezentuje się np. dom przy ul. Benedyktynów 1. Zabudowania ul. Św. Jadwigi, tak „Św.” pisane na tabliczce wielką literą, którą prowadzi szlak, praktycznie zaraz się kończą. Jeszcze z prawej szlak mija zespół nowego osiedla mieszkaniowego. Zaraz z lewej piechur ma okazję zobaczyć jedną z piękniejszych panoram górskich tej trasy. Sudecki uskoczek brzeżny z wzniesieniami Pogórza Kaczawskiego prezentuje się stąd całkiem okazale. Po chwili prawdziwa atrakcja. Szlak wiodący wzdłuż szosy wyprowadza bowiem turystę na wiadukt nad autostradą. To osobliwość. Nie tylko w skali przedpola Sudetów. Rzadko kiedy turysta wędruje znakowanym szlakiem nad ruchliwą autostradą. Autostrada



Kościół Podwyższenia Krzyża Świętego i św. Jadwigi Śląskiej w Legnickim Polu

A4 na tym odcinku wygląda nader ciekawie. Nie biegnie ona całkiem równym terenem. Szczególnie patrząc w kierunku Legnicy. Nic w tym jednak dziwnego. Akurat tu przecina ona granicę Przedgórza Sudeckiego i Niziny Śląsko-Łużyckiej. Teren tego pierwszego, którym prowadzi tu szlak, znajduje się w obrębie Wzgórz Strzegomskich, ściślej: Wysoczyzny Legnickiego Pola. Nazwa jej jest jak najbardziej adekwatna.

Zaraz za wiaduktem czerwony szlak odbija w prawo. Słyszący jeszcze szum samochodów turysta może nieco odpocząć. Wkracza tu bowiem na gruntową polną drogę. Na jednym z drzew piechur



Psarska Góra (Bliźniaki)

dostrzeże tu zapewne oznakowanie nie tylko czerwonego i zielonego szlaku pieszego, ale i zielonego rowerowego. Te dwa ostatnie są znacznie gorzej oznakowane w terenie. Jeszcze mniej znaków ma, także tu wiodący, wariant Drogi św. Jakuba. Tylko chwilę polna droga, otoczona szpalerem drzew, wiedzie niemal równoległe do autostrady, by zaraz odbić w lewo. Monotonny, prawie płaski krajobraz z polami uprawnymi urozmaicają widoczne na horyzoncie kępy drzew. Ta z lewej porasta Psarską Górę, zwaną też Bliźniakami, ta z prawej zbocza Świniarki. Wszystkie te wzniesienia wznoszą się nieco ponad 160 m n.p.m. To jedne z nielicznych wyraźniejszych pagórków tego krańca Wzgórz Strzegomskich. Bardziej jednak rzucają się w oczy widoczne z prawej stumetrowe wiatraki wchodzące w skład parku wiatrowego „Taczalin”. Pierwsze elektrownie wiatrowe zaczęły w nim działać 5.08.2013 r. Wkrótce szlak doprowadza do miejsca, w którym polna droga skręca łukiem nieco w prawo. Od Legnickiego Pola szlakiem idzie się tu prawie 2 km (30 min.). Na głazie narzutowym, który leży z lewej strony, umieszczone jest spore nagromadzenie znaków ważnych dla turysty. Mamy tu nie tylko znaki PTTK-owskich szlaków pieszych i zielonego rowerowego, ale i symbol wspomnianej Drogi św. Jakuba.

Polna droga zaczyna dość wyraźnie opadać w dół. Przecina tu ostatnie wzniesienia Wzgórz Strzegomskich, sprowadzając wzdłuż szpalerów drzew do skrzyżowania z prostopadłą drogą polną. Jeszcze przed skrzyżowaniem droga nagle praktycznie zanika. Wśród bujnych zarośli i polnej miedzy trzeba się tu chwilę przemęczyć. Tak robiąc osiąga się skrzyżowanie na „imponującej” wysokości 139 m. Tu szlak czerwony skręca w lewo, opuszczając szlak rowerowy oraz piesze: Drogę św. Jakuba i zielony Szlak Tatarów. Polna droga staje się ponownie wygodna. Wyglądając zza krzaków w lewo turysta widzi rozległe lekko pofalowane pola. Nic nadzwyczajnego. Jednak to właśnie na tych polach mapy turystyczne z reguły umieszczają znak pola bitwy. Czy sugerują prawidłowo miejsce bitwy pod Legnicą? Trudno powiedzieć. Do dziś miejsce jej nie zostało dokładnie ustalone. Nieco inny obrazek ma piechur z prawej strony. Tam w oddali widać już bloki Osiedla Piekary w Legnicy. Nieco dalej z lewej można dostrzec skupisko kilku budynków malowniczo wtopionych w zbocze Psarskiej Góry. To Psary. Z prawej bliżej widoczne są nieco tylko niżej zabudowania Koskowic. Kawalek dalej z lewej pojawi się inny widoczek. Na prawo od pięknie opadającego do doliny Wierzbiaka zbocza Wiśnicy (165 m) wylania się ponownie na tym szlaku sudecki uskoc brzeźny. Wymienione ostatnio wzniesienie z niższym pagórem ewidentnie kończy Wzgórz Strzegomskie. Jest więc najdalej na północ wysuniętym nazwanym szczytem Przedgórza Sudeckiego. Ten odcinek polnej drogi, którą wiedzie Szlak Bitwy pod Legnicą, również biegnie tym krańcem. Tereny na północowschód od niej przechodzą w zupełnie niemal równy obszar należący już do obszaru Pojezierza Kunickiego – mikroregionu Wysoczyzny Średzkiej już na Nizinie Śląskiej. Tylko gdzieniegdzie wznoszą się tam ledwo co niewielkie pagóry kemowe.

Po przejściu 5 km od Legnickiego Pola (1.10 godz.) polna droga z czerwonym szlakiem przecina inną. Nią wiedzie tu żółty szlak. To fragment długiego Szlaku Dokoła Legnicy. Tymczasem czerwony nieuchronnie podprowadza do zabudowań Bartoszowa. Z lewej warto nasycić jeszcze oczy piękną panoramą sudeckiego uskoku brzeźnego. Wśród budynków Bartoszowa szlak prowadzi brukowaną drogą. Wkrótce osiąga też most na Wierzbiaku. Można powiedzieć, że tu na dobre opuszcza Przedgórze Sudeckie. Słuszniejszą jednak jego granicą będą podnóża wyraźnych, choć niskich wzniesień, na południe od zabudowań wsi. To bardziej tam u ich stóp Przedgórze „dobija” do doliny Wierzbiaka, granicząc w ten sposób z nizinami: Śląską i Śląsko-Łużycką. Zaraz za rzeką piechur mijają małe wiejskie rondo, gdzie znak nakazuje pójść w prawo. Przez wieś należy iść dalej cały czas wzdłuż asfaltu. Później prosto gruntową drogą. Tak szlak wkracza na terytorium Legnicy. Gruntowa droga (ul. Bartoszkowska) osiąga ul. Koskowicką, skąd blisko już widoczne są bloki Osiedla Piekary. Na skrzyżowaniu w lewo i dalej prosto. Dopiero za przejazdem na linii kolejowej łączącej Legnicę z Jaworzyną Śląską trzeba skrócić w lewo. W ten sposób szlak wyprowadza jeszcze na chwilę z „właściwego” miasta, wiodąc koło garaży, stacji benzynowej, a potem polną drogą wśród nieużytków nad dolinką Kopaniny. Tak trochę klucząc dojdzie się dróżką (ul. Żółtą) do kolejnych zabudowań koło kościoła, gdzie należy odbić w prawo w ul. Radosną. Tylko krótko nią, by za chwilę skrócić w lewo w ul. Słoneczną. Dalszy etap to przecięcie na pasach Al. Rzeczypospolitej, a później wędrówka wzdłuż ul. Ogrodowej do utwardzonej chodnikowymi płytami ścieżki na wałach ciągnących się wzdłuż Kaczawy. W ten sposób turysta ma okazję osiągnąć most na wypływającej w Górach Kaczawskich rzece. W niczym nie przypomina ona tu tej płynącej np. przez Wojciszów. Za rzeką szlak prowadzi parkowymi alejkami. Tu można go zgubić. Ostatecznie należy skierować się w prawo skos, a po przecięciu głównej alejki parkowej (al. Orła Białego) w lewo skos do biegnącej nieco wyżej ulicy. Na skraju zwartej zabudowy opłotków centrum Legnicy trzeba tam skrócić w lewo.

Pozostaje teraz dojście do ul. Mickiewicza i dalej nią do przejścia podziemnego pod ul. Skarbka. Po wyjściu zeń turysta dotrze do kolejnej świątyni. To legnicka katedra św. Piotra i Pawła, należąca do Kościoła rzymsko-katolickiego. Pierwsza świątynia wzmiankowana była w tym miejscu już w 1208 r. Chcąc dojść do końca szlaku, trzeba przy niej skrócić w prawo i skrajem Rynku, a dalej ul. NMP skierować się w stronę Galerii Piastów. Dla turysty istotniejszy jest jednak inny obiekt – kościół NMP. Świątynia ta należy do Kościoła ewangelicko-augsburskiego. Dlaczego jest ważnym punktem na opisywanym szlaku? Według Jana Długosza to tu przed wyruszeniem na bitwę w 1241 r. modlił się Henryk Pobożny. Końcowy etap czerwonego szlaku to przemarsz ul. Zamkową pod legnicki zamek, a tam po przejściu ulicy skrócić w prawo. Na słupie latarni, obok widocznej Bramy Głogowskiej dostrzec łatwo stosowne oznaczenie szlaku, informujące o jego końcu.

Niedaleko stąd do dworca kolejowego stacji PKP Legnica, obok której mieści się też legnicki dworzec autobusowy. Stamtąd można złapać dogodne połączenia.

Bartosz Skowroński

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Ping'an – górskie pola ryżowe

Wśród rozlicznych atrakcji krajoznawczych, które ściągają coraz więcej zachodnich turystów ponad trzykrotnie większe od Polski Chiny, do mniej znanych należą urokliwe, a przy tym ciekawe tereny uprawy ryżu. Powstały one na stokach gór w odległości 100 km na północo-zachód od prowincjonalnego miasta Guilin. Zwie się je Terasami Longdzi, gdzie pierwsi mieszkańcy pojawili się w czasach dynastii Juan (1271-1368). Do początku dynastii Qing (połowa XVII w.) powstały trzy wsie z wąskimi stopniami przemyślnie nawadnianych teras. Dziś to trzy nieco większe wsie, w których zamieszkuje około 800 osób mniejszości narodowej Żuang oraz mniejsza grupka Jao. Kobiety tej drugiej wyróżniają się nie tylko innym strojem, ale i długimi do 2 m włosami (obcinają je tylko raz kończąc 18 lat), kunsztownie wysoko splecionymi. Największa osada Ping'an obejmuje 50 rodzin z 200 osobami, które obsługują turystów i utrzymują ryżowiska w użytkowaniu. Można powiedzieć, że jest to wieś kulturowa zachowana i dla potomności, i dla zwiedzających. Odznacza się ona bowiem także ciekawym budownictwem – jak na odległą prowincję całkiem okazałym. Są to z reguły co najmniej piętrowe, rozległe obiekty, silnie skoncentrowane w przestrzeni z uwagi na znaczne ograniczenia lokaliza-



Widok ogólny wsi



Jeden z hoteli



Terasy ryżowe

cyjne. Do miejscowego stylu nawiązują coraz liczniejsze hotele.

Uprawy ryżu zaczęto tu na wysokości 300 m, potem podeszły one aż do 1200 m. Mimo iż panuje tu subtropikalny klimat monsunowy (latem temperatury przekraczają 30°), a średnia temperatura roczna wynosi 20°, to z uwagi na górski charakter okolicy zimą jest i poniżej 0°. Z tego powodu zbiory można przeprowadzić tu tylko jeden raz w roku, co



Kobiety Jao

w dzisiejszych czasach nie jest opłacalne. Ludność więc właściwie mieszka w zasadzie tylko po to, by ryż był na poletkach dla podziwiania przez turystów. A jest co podziwiać – i to w zależności od pory roku. Wiosną terasy srebrzyście lśnią od napuszczonych na nie wody, latem zielone wstęgi zdają się oszałamiać wzrok, jesienią brązowe wstęgi otulają jakby ciepłym kołnierzem wzgórze i osady. Zimą zaś biel wspaniale kontrastuje w błękitnym niebie. Dla podziwiania tych widoków wytyczono sporo tras spacerowych i wycieczkowych, przy których znajdują się punkty widokowe. Dwa główne z nich to, mające jak wszystko Chinach poetyczne nazwy, „Siedem gwiazd wokół Księżycy” i „Dziewięć smoków i pięć tygrysów”.

Dostęp do Ping'an nie jest prosty. Samochód trzeba zostawić na dużym parkingu daleko przed wsią, opłacić wstęp w okazałej, stylowej bramie i można jechać lub iść w głąb szybko zwężającej się doliny. Dalej już tylko pieszo – chyba, że ktoś wybierze lektykę. Po wąskich, często stromych stopniach, mijając koniki dźwigające różne materiały i kobiety przenoszące za opłatą w koszykach bagaże turystów, wspinać się trzeba do określonych obiektów – hoteli, restauracji czy kramów. Turystów zachodnich jeszcze tu niedużo, ale stale ich przybywa. Wabi ich nie tylko krajobraz i oryginalne budownictwo, ale i smakowite jedło, np. tzw. ryż bambusowy – kleisty ryż z dodatkiem mięsa i warzyw. Pychotka!

Krzysztof R. Mazurski



Samotna mogiła przy domostwie



Napełnianie bambusów ryżem

NA SZLAKU

www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Antarktyczny Great Wall

Jedną z moich wypraw, związanych ze stacjami antarktycznymi na Wyspie Króla Jerzego, dotyczyła Chińskiej Stacji Antarktycznej Great Wall.

I tym razem, podobnie jak poprzednio, skorzystałem z zaproszenia kapitana brazylijskiego okrętu „Ary Rongel”. W planach miał to być jednodniowy rejs do sąsiedniej Zatoki Maxvela. Brazylijczycy mieli odebrać sprzęt dla swojej stacji *Comandante Ferraz*, który został dostarczony samolotami typu *Hercules* na chilijskie lotnisko, znajdujące się przy stacji *Feri*. Plan był idealny, 3 godz. drogi w jedną stronę, planowany załadunek 4 godz. i powrót, ponownie 3 godz. Pomyślałem, że na chilijską stację jeszcze pewnie będzie okazja się wybrać (i nie myliłem się, ale o tym napiszę innym razem), chodziła mi po głowie



„Ary Rongel”

Chińska Stacja Antarktyczna *Great Wall*. Jej kierownictwo miałem okazję poznać w trakcie mojej drugiej wizyty na koreańskiej stacji *King Sejong*, związanej z uroczystością 28. rocznicy jej założenia. Wtedy też otrzymałem zaproszenie od kierownika chińskiej stacji do odwiedzin na *Great Wall*. Okazja nadarzyła się po pewnym czasie. Z *Arctowskiego* wybrałem się tylko ja, pozostali „wyprawowicze” stwierdzili, że jest niedziela i mają ochotę się „wybyczyć”, a nie włączyć po Antarktyce.

Pierwszy etap podróży minął spokojnie. Na okręcie było kilku przedstawicieli rządu brazylijskiego, tak więc cała załoga była zajęta obsługą swoich VIPów. Spokojnie mogłem posiedzieć w mesie i, pijąc dobrą brazylijską kawę, popracować pisząc, uzupełniając zaległą korespondencję. Plan był idealny. Uzyskałem nawet zgodę, iż marynarze odwiozą i odbiorą mnie pontonem. Odpadła mi wędrówka z *Freia* na *Great Wall*. Co prawda to tylko 2,5 km, ale jaka strata czasu, tym bardziej, że oficer wachtowy w efekcie dał mi zaledwie 1,5 godz. na pobyt na lądzie. Wtedy po raz pierwszy pomyślałem sobie, że zamiast siedzieć spokojnie na *Arctowskim*, to ja się pałętam to tu, to tam, spędzając kolejny dzień w „metalowej puszcze”!

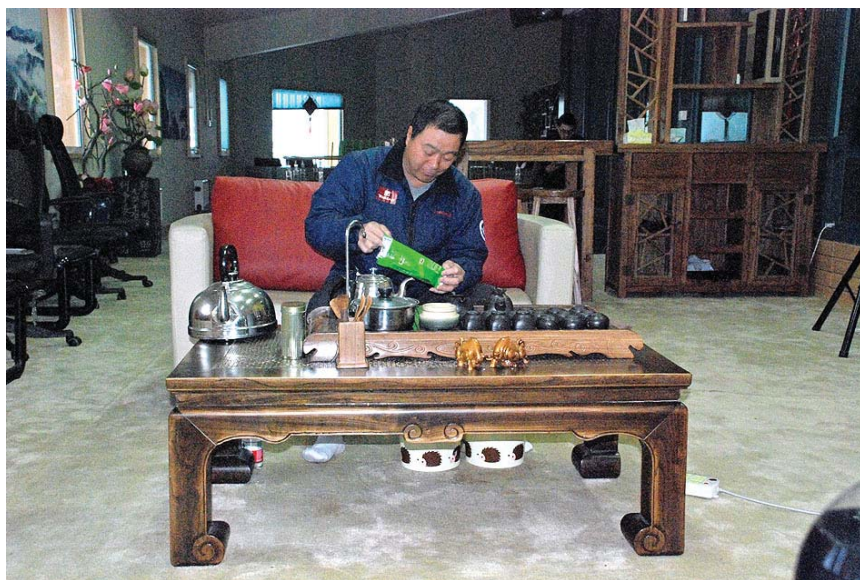
Po wylądowaniu wstąpił we mnie duch „prawdziwego turysty”, aparat gotowy do wykonania kolejnych setek zdjęć. I biegania – od budynku do budynku. Najpierw oczywiście postanowiłem



Widok chińskiej stacji

się oficjalnie przywitać. Minąłem dużą halę, ale domyślałem się, że tam jest tylko sprzęt do pływania lub inne pojazdy, nie miałem na to czasu. Pobiegłem więc do budynku, który z wyglądu był najbardziej reprezentacyjny, najwyższy, nowy. Tam musi być kierownictwo, pomyślałem. Budynek okazał się obiektem, w którym zlokalizowano stołówkę, kuchnię, pomieszczenia do wypoczynku oraz halę sportową o wymiarach boiska do siatkówki. Tylko nikogo w środku. Podreptałem szybko do kolejnego budynku.

Tabliczki z nazwami budynków oczywiście niewiele mi mówiły. Kolejny budynek okazał się obiektem, gdzie były pomieszczenia pralni, łazienek, a także sala do gry w tenisa stołowego. A wszystko to przylegało do ogromnego pomieszczenia mieszczącego agregaty prądotwórcze. Tylko znowu żywego ducha. Trochę niezręcznie mi się zrobiło, bo biegam po obcej stacji, zaglądam do poszczególnych budynków, myszkuję wszędzie i nie mam jak powiedzieć, że ja tu w oficjalnych gościach jestem. A przecież jeszcze godzinę temu nawiązałem kontakt radiowy z *Ary Rongela* i potwierdzałem swoją wizytę, zgodnie z wcześniej wysłanymi e-mailami.



Kierownik stacji parzy herbatę

Do każdego budynku wchodzi się, i zgodnie z zasadami, ściąga buty, zdejmując wierzchnie okrycie. Najgorzej z butami trekkingowymi, rozsypać zamrożone sznurowadła, potem ponownie je zasnuować na te wszystkie zaczepki, a tu mi czas ucieka, czas... Kolejny budynek okazał się obiektem w remoncie, więc nie zabawiłem tam długo. Został mi już tylko ostatni obiekt. Tam też spotkałem wszystkich: kierownictwo, pozostałą załogę oraz pozostałych gości. Tajemnica braku osób na stacji wyjaśniła się. Na *Great Wall* przybyło „stare” i „nowe” kierownictwo Chilian Antarctic Air Force Base oraz przedstawiciele Chilijskiego Instytutu Antarktycznego, w tym i mój znajomy Crisa, z którym poznaliśmy się wcześniej na koncercie *Metallic*ki na argentyńskiej stacji *Carlini*. Wyszło na to, że ja po prostu wstrzeliłem się w moment, kiedy kierownik stacji przedstawiał swoją załogę, dlatego nikogo nie spotkałem wcześniej na stacji. Po oficjalnych powitaniach Chilijczycy ruszyli na spacer po stacji, a ja zostałem zaproszony na tradycyjną chińską herbatę. Przygotował ją osobiście kierownik stacji Jianjun Cao. I wszystko niby dobrze. Piękny tradycyjny stół do parzenia herbaty. Tradycyjne naczynia do picia. Estetycznie przygotowane pomieszczenie do smakowania tego napoju. Tylko że kierownik chińskiej stacji nie bardzo posługuje się angielskim, a ja z kolei „ni w ząb” po kantońsku. W efekcie było to mistyczne przeżycie, moc w spokoju i bez zbędnych słów skosztować tradycyjnej chińskiej herbaty.

Niemniej jednak gonił mnie czas. Przecież zaraz po mnie przypląną z *Ary Rongela*, a przecież chciałem obejść całą stację i zobaczyć, w jakich warunkach żyją, gdzie i na czym pracują. Z pomocą przyszedł mi młody chiński naukowiec Wu Fixing, który pojawił się po jakichś 30 min. i zabrał mnie na spacer. Już z większym spokojem odwiedziłem te wszystkie budynki, po których wcześniej przebiegłem się. Zwiedzanie rozpoczęliśmy od tradycyjnego chińskiego elementu, jakim jest dzwon, znajdujący się przed budynkami stacji. Ponownie odwiedziłem budynek ze stołówką i halą sportową. Tym razem była okazja przyjrzeć się temu bliżej. Pomieszczenie kolorowe, udekorowane licznymi chińskimi ozdobami i sztucznymi kwiatami. Na pięterku pomieszczenie do odpoczynku. Gruby miękki, dywan, po którym stąpa się boso. W wazonach gałęzie z kwiatami magnolii, oczywiście sztuczne, ale w białoszaro-czarnej tonacji Antarktyki, miłe to dla oka. Hala, która wydawała mi się boiskiem do siatkówki, okazała się boiskiem do gry w badminton. Na ścianach flagi państw, do których należą okoliczne stacje. Polskiej brakowało. Ale to dlatego, że do tej pory nie było polskiej drużyny na organizowanych tutaj zawodach sportowych. Nie dziwię się, jest to od *Arctowskiego* najdalej położona stacja. Dostać się zimą tutaj jest praktycznie niemożliwe. A poza tym, jak stworzyć drużynę, skoro zimowników na polskiej stacji jest tylko siedmiu, a przecież ktoś musi zostać na dyżurze. W pomieszczeniu liczne plakaty przedstawiające chińską działalność na terenie Antarktyki. Chińczycy posiadają cztery stacje w tym rejonie, w tym pozostałe trzy znajdują się na kontynencie Antarktydy. Ponadto do logistycznej obsługi stacji posiadają lodołamacz *Snow Dragon*.

Cdn.
Zbigniew Sobierajski

O Bałtyku i jego mieszkańcach z dziewięciu państw

Nazywany był za czasów Rzymian morzem mgieł i wichrów z dominacją zapachu żywicy i smoły. Natomiast wyprawy do tych wtedy nieznanymi obszarów wodnych, gdzie zima trwała znacznie dłużej niż w pozostałych częściach Europy, należało do bardzo ryzykownych, ale mimo to śmiałości do poszukiwań bursztynów nie brakowało. Morze Bałtyckie, bo o nim mowa, należy do najmłodszych i najpłytszych obszarów wodnych na świecie. Znajduje się w północnej części Europy i zajmuje 406.720 km². Jego średnia głębokość wynosi 55 m, z czego największa głębokość ma 275 m i znajduje się na wschód od Gotlandii, a średnia temperatura zimą w niezamarzającej, czyli w południowej części spada do 2 °C. Morze to posiada siedem wielkich zatok, a są nimi: Kilońska, Meklemburska, Pomorska, Gdańska, Ryska, Fińska i Botnicka z tym, że te dwie ostatnie zawsze w zimie całkowicie zamarzają. Jeszcze 13.000 lat temu Bałtyk był zamkniętym akwenem, czyli jednym wielkim ciągle zamarzającym jeziorem, którego poziom wody był wtedy wyższy od Oceanu Atlantyckiego o 21 m. O dostęp do tego morza, jak i o dominację na jego obszarze walczyły ciągle różne plemiona, a potem już państwa i to przez setki lat, dlatego, najogólniej rzecz ujmując, panowanie nad Bałtykiem można podzielić na kilka okresów, na które przypada dominacja konkretnego państwa.



Począwszy od X w. szlaki handlowe na Bałtyku opanowali Duńczycy, którzy mieszkają na Półwyspie Jutlandzkim i mają doskonałe możliwości kontrolować wejście do tego morza. Bo oprócz stałego lądu dysponują przede wszystkim 405 wyspami i wysepkami, co stanowi 31% powierzchni ich kraju, nie licząc w tym Grenlandii. I to właśnie te wyspy mają szczególne znaczenie strategiczne dla tego kraju. Z kolei w XIII w. Duńczycy ustąpili dominacji na Bałtyku Niemcom, którzy kontrolowali Hanzę, a ich główną bazą wypadową była wtedy wyspa Rugia, która ma 926 km² powierzchni. Z kolei niemiecką dominację na Bałtyku w XVI w. zakończyli twórcy Unii Kalmarskiej, czyli Szwedzi. Natomiast na początku XVIII w. zostali oni z kolei pokonani pod Połtawą przez Rosjan i od tego czasu takie państwa, jak Litwa, Łotwa i Estonia oraz Finlandia przeszły ze szwedzkiej dominacji pod bezpośrednią dominację Rosji na ponad dwieście lat. Z tych zdobyczy największe znaczenie strategiczne dla Rosji miała Estonia i Finlandia. Do tej pierwszej należą wyspy Moonsundzkie, które leżą na zachodzie tego kraju i są szczególnym atutem obronnym od strony morza. Obejmują one bardzo wiele wysp i wysepek, z czego cztery największe to SAAREMAA 2673 km², HIIUMAA 1023 km², MUHU (MÓÓN) 201 km² oraz VARMS 93 km² i to one przede wszystkim decydują o ważności obrony tego archipelagu, co z kolei zabezpiecza nie tylko Parnawę i Rygę, ale całą Zatokę Ryską. Wielką osobliwością Bałtyku jest zupełnie pojedynczy olbrzymi kamień narzutowy, przywleczony przez lądolód, o 7-metrowej wysokości i 36-metrowym obwodzie. Znajduje się on na półwyspie Letipea od strony Zatoki Fińskiej na terytorium Estonii.

Zupełnie inaczej pod względem strategicznym przedstawiają się Wyspy Alandzkie, które są obecnie autonomiczną prowincją Finlandii w Zatoce Botnickiej. Archipelag ten składa się z ponad 6500 wysp i wysypek, z czego prawie 80% jest zamieszkałych przez 27.000 osób. Łączna jego powierzchnia wynosi 6800 km², z czego lądu stałego jest tylko 1520 km². W prowincji tej 92% mieszkańców posługuje się językiem szwedzkim, który jest tam językiem urzędowym. Archipelag ten, mogący blokować

wejście do Zatoki Botnickiej, należy do Finlandii od 1921 r. Wieloletnie spory o te wyspy pomiędzy Finlandią a Szwecją i Rosją rozstrzygnęła ostatecznie Liga Narodów w 1922 r. na korzyść Finlandii. Stolicą i jedynym miastem tego archipelagu jest Maarianhamina, licząca 11.000 mieszkańców. Finowie nazywają ten archipelag Ahvenanmaa, a Szwedzi Aland.

Jeśli chodzi o XIX w., to od lat czterdziestych tego wieku niemal aż do połowy XX w. prym na Bałtyku ponownie wiodli Niemcy z główną bazą wypadową już jednak nie na Rugii, lecz w Kilonii. Teraz, po wielu set latach burzliwych dziejów na tym morzu, jest na razie wśród tych dziewięciu państw, które mają do niego dostęp, względny spokój. I trzeba mieć nadzieję, że te nadbałtyckie państwa wytrzymają dalej bez konfliktów wojennych, a są nimi Dania, Niemcy, Polska, Rosja, Litwa, Łotwa, Estonia, Finlandia i Szwecja. Jest to jednak sprawa bardzo trudna, bo państwa te różnią się pomiędzy sobą nie tylko mentalnością, zasobnością materialną i możliwościami ekonomicznymi, ale przede wszystkim kulturowo i chociaż szczytą się swoją europejskością, to układy polityczne i usytuowania geograficzne wciąż biorą górę nad pokojową koegzystencją. Mimo to są jednak nadzieje na pokojowe ich współistnienie. Do jednych pokojowych zwiastunów, które napawają taką nadzieją, jest coraz wyraźniejsza zarysowująca się współpraca tych wszystkich państw na rzecz ochrony środowiska Bałtyku, by nie stał się jednym wielkim śmietnikiem. Prym w tej sprawie wiodą Szwecja i Finlandia.

My też lubimy bardzo wyjeżdżać nad nasze polskie morze, by raczyć się jego pięknem i walorami zdrowotnymi. Natomiast nie mamy w ogóle czasu, by zastanowić się przez chwilę nad jego burzliwymi dziejami i skomplikowaną przeszłością. Może jednak ktoś wspomni przez chwilę o czytanych w młodości słynnych powieściach marynistycznych CONRADA. Bo nikt oprócz niego nie umiał tak pięknie pisać o morzu i opisywać psychikę „ludzi morza”, jak właśnie Józef Konrad Korzeniowski (1857-1924), światowej sławy pisarz angielski pochodzenia polskiego.

Ambroży Grzenia

wspomnienie

była noc
w objęciach drzew szumiących od miłości

było lato
utkane krzykiem polarnych mew
i pytaniami o widnokrąg pragnień

były modlitwy żarliwe
spełnione przed wetknięciem kartki
w szczelinę Ściany Płaczu

był bulgot
wezbranego potoku pustych słów
udających treść

i był granitowy łoskot
odrzuconej miłości w cieniu Buczynowej Turni

była młodość

Ratajów, czerwiec 2009 - styczeń 2010

Joanna Pociask-Karteczka

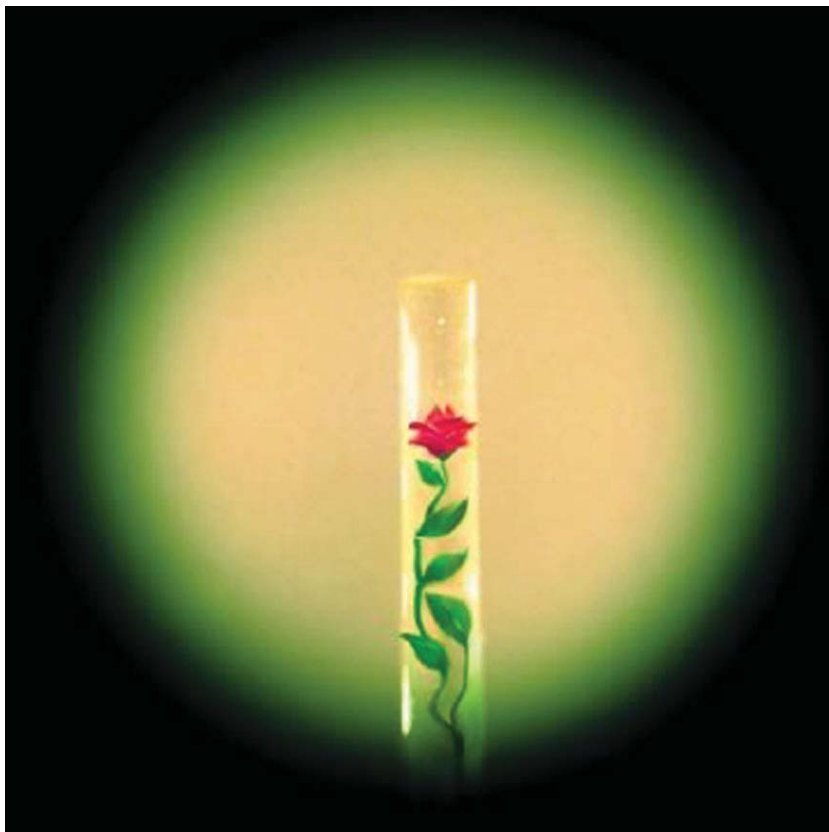


Wielka Buczynowa Turnia

Kijowskie mikrominiatury

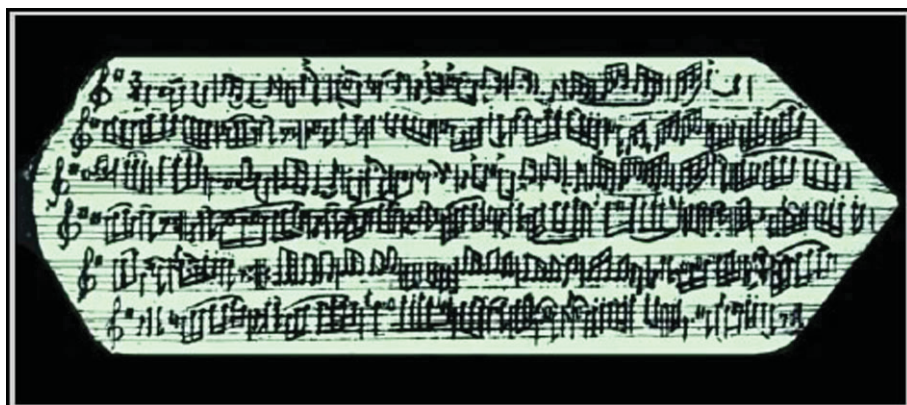
„Czy trudno jest podkuć pchłę?” – książkę pod takim tytułem napisał **Nikołaj Siadristy**, którego wystawę mikrominiatur w kijowskiej Peczerskiej Ławrze codziennie zwiedzają tłumy ludzi. Jej autor urodził się w 1937 r. Ukończył Charkowską Szkołę Sztuk Pięknych i Charkowski Instytut Rolniczy. Był agronomem na Zakarpaciu, później inżynierem w instytucie Akademii Nauk Ukrainy. W sporcie podwodnym uzyskał tytuł mistrza. Od 1959 r. zajął się tworzeniem mikrominiatur. Podkućta pchła to jedna z jego najwcześniejszych i najprostszych prac. Pchłę ze złotymi podkówkami można od lat oglądać pod mikroskopem na wystawie mikrominiatur.

Siadristy stworzył wiele prac, których miniaturyzacja wciąż wzbudza niedowierzanie i zachwyt. Oto kompozycja „Polonez Ogińskiego” (1959): żółtawy kwiat chryzantemy, złożony z 99 płatków, ma średnicę 5 mm. Na łożycie – listek 2x5 mm z wygrawerowanymi nutami, których jest tu około 600. Portret Ernesta Hemingwaya (1966) zmieścił się na przekroju ziarenka dzikiej gruszy. Portret Matki (1984) wygrawerowany został diamentowym rysikiem na kłosie ze szkła na powierzchni 2x3 mm. Portret Gagarina (1984) wyrzeźbiony został z nasienia tarniny i ma rozmiary 3x4 mm. Portret baleriny Mai Plisieckiej jest na przekroju ziarenka wiśni 3x4 mm. Ogromne wrażenie sprawia „Róża we włosie” (1961). Włos został przewiercony wzdłużnie, a w powstałą w ten sposób rurkę autor wstawił czerwoną różyczkę z zielonymi listkami. Średnica kwiatka wynosi 0,05 mm, a grubość jego łożyczki – 0,005 mm.



Włos z różyczką

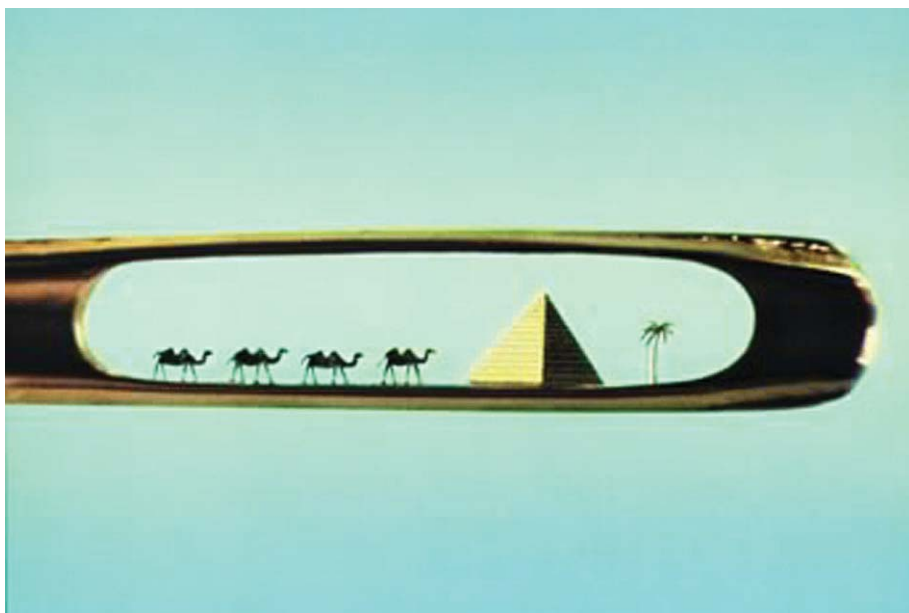
Na wystawie eksponowany jest najmniejszy działający półmilimetrowy silniczek elektryczny (1960). Posiada on części normalnego silnika: stojan, wirnik, oś, uzwojenie, łożyska. Można też oglądać najmniejszą książeczkę (1963). Jest to „Kobzar” Tarasa Szewczenki o wymiarach poniżej 1 mm, ma 12 stron, na każdej jest 8 wierszy poematu. Dwie strony zawierają obrazki: portret Szewczenki i rysunek chaty jego ojca. Książeczkę autor zszyl pajęczyną. Pięknie prezentuje się pod lupą złota fregata (1975) o długości 3,5 mm, wykonana z 337 części. Maszty twórca przywiązał do statku złotymi linami o grubości 0,003 mm. Przy tworzeniu tego wyrobu jubilerskiego autor zastosował różne sposoby obróbki złota: cięcie, tłoczenie, wiercenie, lutowanie, polerowanie. Miniatura pod nazwą „Czas” (1981) to ważka z 5-milimetrowym działającym zegarem umieszczonym w głowie owada. Zegar zawiera mechanizm złożony z kółek zębatach na osiach w rubinowych łożyskach, a napędzany jest przez 2 mikrosilniczki, znajdujące się w tułowiu owada, zasilane z sieci elektrycznej. Na wyrób ten składa się 130 części ze złota i



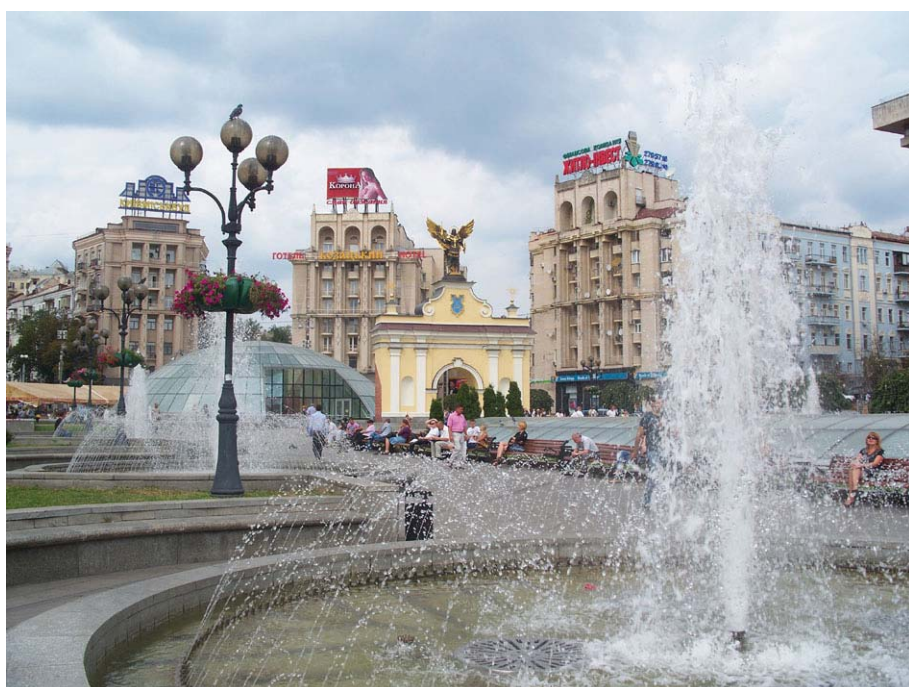
Polonez Ogińskiego

szkła. Twórca w uchu igły umieścił piramidę i karawanę złotych wielbłądów. Na przecięciu ziarna maku zmieścił makietę wiatraka z 203 złotymi detalami.

Wymieniłem tylko niektóre spośród eksponatów tej niezwyklej wystawy. Jest ich dużo więcej. Podróżują po świecie. Mikrominiatury Siadristego były wystawiane w Polsce, Czechach, Bułgarii, Niemczech, Stanach Zjednoczonych Ameryki, Kanadzie, Australii, także w Rosji i Białorusi. Wędrowały po miastach Ukrainy. Kiedyś w muzeum spotkałem autora i, jak wszyscy, zainteresowałem się, jak się to



Karawana



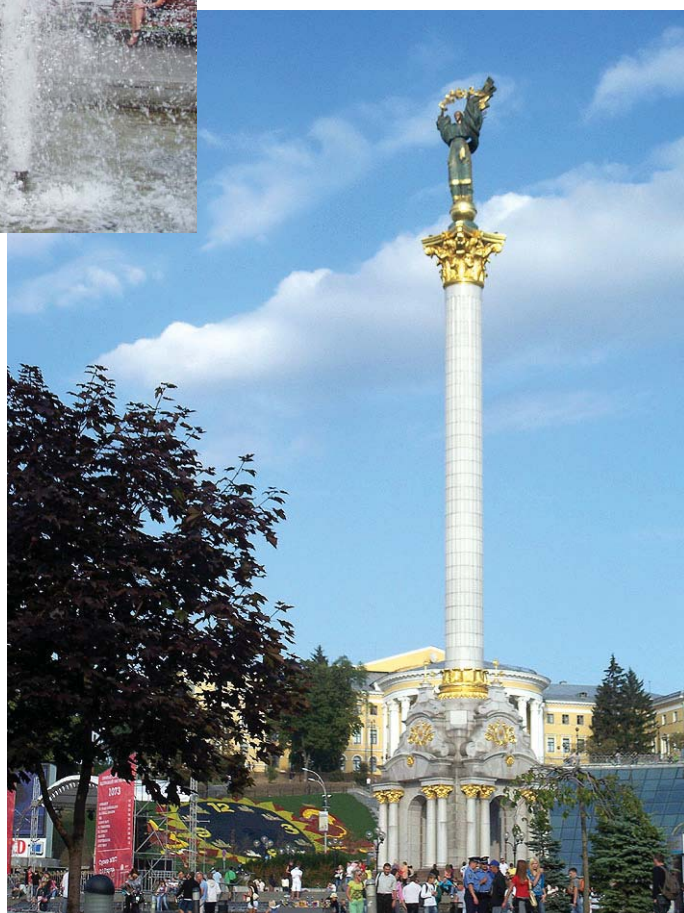
Majdan Niezawisłości w Kijowie

robi. Twórca wyjaśnił, że mikrominiatury wykonywał oczywiście pod mikroskopem, ale najtrudniejszym zadaniem było zawsze stworzenie narzędzi i przyrządów, każdorazowo do konkretnej pracy. Często sporządzenie narzędzi zajmowało więcej czasu niż zrobienie samego eksponatu. Wszystkie operacje wykonywał ręcznie. Musiał uważać, by mikroskopijne narzędzie doty-

kało surowca wyłącznie między kolejnymi uderzeniami pulsu, by nie uszkodzić powstającego wyrobu. Tematy, wybór surowca i technologia wykonania zawsze były oryginalne, niemożliwe do zapożyczenia, bo nie było ani wzorców, ani tym bardziej podręczników tak precyzyjnej mechaniki. Mikrominiatury zadziwiają pięknem, świadczą o niezwykłych zdolnościach autora, jego pasji i kunszcie technicznym.

Janusz Fuksa

Kolumna Berehyni na kijowskim Majdanie



Bielsko-bialskie obchody

W Bielsku-Białej odbyły się uroczyste obchody 100-lecia Czynu Legionowego – rocznicy wymarszu ochotników bialskich do walki o wolność ojczyzny w sierpniu i wrześniu 1914 r.

Uroczystości rozpoczęła w kościele p.w. Opatrzności Bożej uroczysta msza w intencji Ojczyzny. Następnie parlamentarzyści z regionu, przedstawiciele władz samorządowych, kombatancki i członkowie Strzeleckiego Obwodu Piechoty Górskiej udali się na pl. Wolności. Tam złożono wiązanki kwiatów pod tablicą upamiętniającą pobyt w Białej w 1915 r. Komendanta I Brygady Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego oraz pod tablicą pamiątkową bialskiego Oddziału Sokoła z 1914 r. Kwiaty złożono również pod Pomnikiem Legionistów na cmentarzu przy ul. Grunwaldzkiej.

W samo południe w Książnicy Beskidzkiej uroczystie otwarto wystawę „Legiony Polskie 1914-1918”, na której prezentowane są zbiory Andrzeja Rumińskiego. Symbolicznego przecięcia wstęgi dokonał m.in. wpisany do Księgi Zasłużonych dla Miasta Zdzisław Tanewski. W Książnicy Beskidzkiej aktualnie jest także prezentowana wystawa „100-lecie wybuchu I wojny światowej w dokumentach historycznych”, która została przygotowana przez Okręg Beskidzki Polskiego Związku Filatelistycznego, Bielsko-Bialskie Towarzystwo Historyczne oraz Archiwum Państwowe w Katowicach Oddział w Bielsku-Białej. Źródło: <http://www.region.info.pl/2012/artukul,0,5557,100lecie-czynu-legionowego.html>

UM Bielsko-Biała

Odpustowa msza na Śnieżce

Św. Wawrzyniec jest patronem przewodników sudeckich i ratowników GOPR. Uważa się także, że, podobnie jak św. Florian, chroni od pożarów i pomaga w poparzeniach. W niedzielę 10 sierpnia br. kilkaset osób uczestniczyło we mszy odpustowej ku czci św. Wawrzyńca. Wydarzenie miało miejsce o godz. 12 na szczycie Śnieżki. Ze względu na bardzo dużą liczbę osób ołtarz tradycyjnie zlokalizowano naprzeciw kaplicy św. Wawrzyńca, tuż przy obserwatorium meteorologicznym.

We mszy, poza przewodnikami i kandydatami na przewodników, uczestniczyli ratownicy górscy, członkowie PTTK, sygnaliści (trębacz) z dwóch kół łowieckich, pracownicy Karkonoskiego Parku Narodowego, Nadleśnictwa Śnieżka i innych instytucji, naukowcy, turyści, przedstawiciele władz krajowych oraz regionalnych i lokalnych władz samorządowych, a także mieszkańcy regionu. Polsko-czeską mszę w intencji ludzi gór odprawiło wspólnie kilku kapłanów pod przewodnictwem Jana Vokála – biskupa ordynariusza z diecezji Hradec Kralove. Mszę koncelebrowali m.in. Stefan Cichy – biskup legnicki senior i Zbigniew Kiernikowski – biskup legnicki, który wygłosił homilię. Po mszy wyruszono do Kotła Łomniczki, aby pomodlić się przy Symbolicznym Cmentarzu Ofiar Gór.

Zbigniew Piepiora

Śczyt Śnieżki na starej grafice



Schroniskowe modernizacje

Zostawmy na jakiś czas spadających i zagubionych turystów, zajmijmy się czymś pozytywnym. A jest o czym mówić i pisać, choć niektórzy mogą uważać inaczej. Turyści, którzy mają niewielki staż wędrówkowy, albo przybyli w góry po raz pierwszy, mogą nie zauważyć zmian dokonujących się w karpackich schroniskach. Mogą uważać, że to, co zastali w schroniskach, było od zawsze: ciepła woda w umywalniach przez cały dzień, czyste sanitariaty, wygodne kuchnie turystyczne, obszerne suszarnie. Oczywiście są także niezadowoleni, myślący schronisko górskie z pensjonatem czy hotelem. Tym nie warto czegokolwiek tłumaczyć. I tak nie rozumieją.

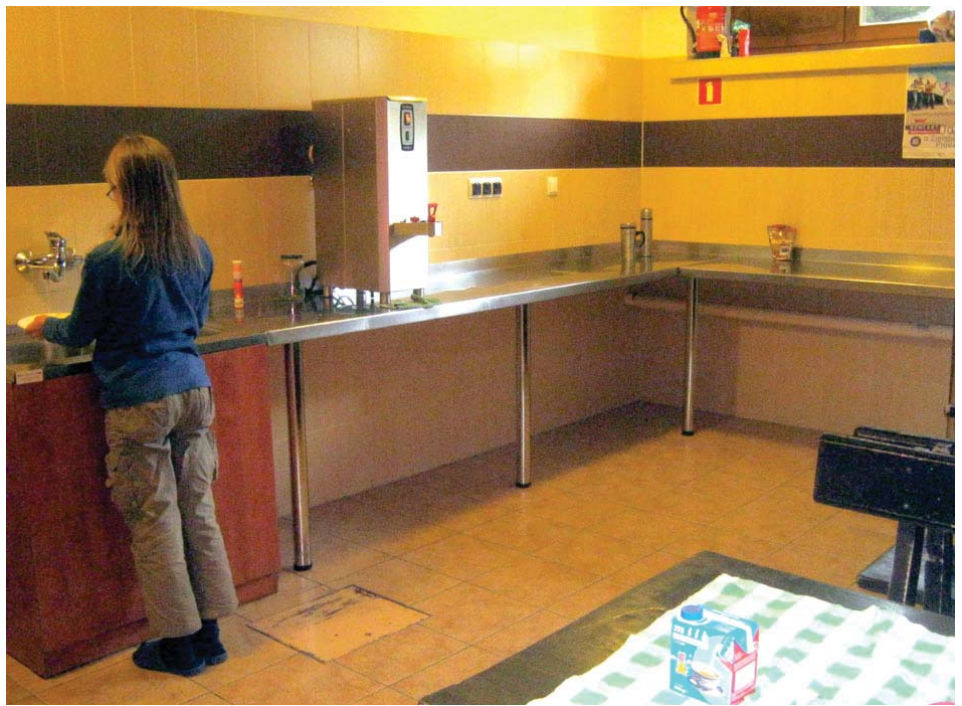
Ledwo trzy sezony temu bawiłem w Gorcach, a jeszcze dawniej w Tatrach. Pamięć mnie jednak nie zawodzi i doskonale pamiętam wyposażenie schronisk. Od ponad dwóch lat realizowany jest przez „Karpackie hotele i schroniska PTTK” program „Zielone schroniska”. Znając problemy, z jakimi borykają się schroniska, dość sceptycznie odnosiłem się do tego przedsięwzięcia, a tymczasem... Oto schronisko na Turbaczu. Zmieniło się sporo na korzyść. Mnie zawsze interesowało, czy w schronisku będę mógł wygodnie przygotować posiłek. Choć z Regulaminu schroniska wynika jednoznacznie, że powinno być miejsce do samodzielnego przygotowania posiłku, nie wszędzie były i są takie miejsca. Bywało, że gotowałem gdzieś na progu. Czasem okazywało się, że niegdysiejszą kuchnię turystyczną zamieniano w składzik czy w ogóle zamykano na cztery spusty. Teraz na Turbaczu turyści mają do dyspozycji obszerną i wygodną kuchnię turystyczną. Są blaty, na których można przygotować jedzenie i takie, przy których usiadziemy, by zjeść. Jest duży zlewozmywak i gorąca woda, są dwa elektryczne czajniki. Przez okno widok na Halę Długą. Czego chcieć więcej? Tylko tyle, żeby wszyscy korzystający z tego pomieszczenia i urządzeń umieli z nich korzystać we właściwy sposób. Niestety, są i tacy, którzy nie potrafią. No, bo co trzeba zrobić, żeby zatkać spływ w zlewie? Jedni myją swoje naczynia i nic się nie dzieje, przyjdzie jeden flejtuch i zatka, a potem leci z pretensjami do recepcji, że „się zatkało”. No cóż, różni są użytkownicy NASZYCH schronisk, także tacy, którzy wchodzi do umywalni w zabłoconych buciorach. Bawiąc na Turbaczu przez dwa dni mogłem spokojnie przeprać to i owo i wysuszyć w obszernej suszarni. Podobnie duże kąpielowe ręczniki nie musiały „kisić się” w pokoju, tylko wysuszyły się skutecznie powieszona w odpowiednim miejscu, jak i buty zmoczone podczas 9-godzinnego przejścia urozmaicanego kilkakrotnie deszczem. Powie ktoś, że to banalne. Jakaś kuchnia, jakaś suszarnia. Niby tak, ale nie zawsze tak było. Podsta-

wowe funkcje schroniska górskiego to udzielenie noclegu, wyżywienie, umożliwienie przygotowania posiłku przez turystę, także wysuszenie odzieży i dokonanie drobnych napraw wyposażenia turysty. Dokonane modernizacje w pełni umożliwiają realizację tych zadań. Warto dodać, że oprócz omawianych pomieszczeń modernizacje przyniosły wymianę np. umeblowania jadalni (np. Chochołowska) lub poprawę standardu ogólnodostępnych sanitariatów. Nie ma już problemów z zostawianiem plecaków w razie wycieczki „na lekko”, gdy trzeba opuścić pokój, powstały bowiem



przechowalnie. Realizowana jest segregacja odpadów.

Podobnie jest w schroniskach na Polanie Chochołowskiej i na Hali Ornak. Doświadczyłem tego tym bardziej, że końcówka sierpnia nie rozpierała pogodą, dni słoneczne przeplatane były deszczowymi. Jeden dzień w słońcu, drugi w deszczu. Trudno siedzieć non-stop w schronisku, bywa, że idzie się kilka godzin bez względu na pogodę. Dobrze wiedzieć, że są schroniska, w których bez problemu wysuszymy ubranie, buty, przeprane rzeczy. Nowe kuchnie turystyczne i suszarnie różnią się wielkością i wyposażeniem, jednak wszystkie zapewniają wygodny pobyt w schronisku. Na Ornaku np. wrzątek dostaniemy (za darmo) w okienku kuchennym, a na Chochołowskiej w kuchni turystycznej stoi elektryczny „wrzątkomat”. Kuchnie i suszarnie otwarte są okrągłą dobę, należy mieć tylko nadzieję, że wśród gości schronisk nie będzie ludzi „o lepkich rękach” i że z kuchni nie zniknie np. kubek termiczny, palnik z gazowym kartuszem, a z suszarni czyjeś buty.



Program modernizacji schronisk objął wiele obiektów. Są to schroniska tatrzańskie i beskidzkie – na Łabowskiej, Turbaczu, Jaworzynie Krynickiej, Przehybie, Maciejowej, Nad Wierchomlą, Krupowej, Luboniu Wielkim, Markowych Szczawinach, Leskowcu, Starych Wierchach. Zakres prac różni się nieco w każdym schronisku. W wielu obiektach zamontowano kolektory słoneczne poprawiające gospodarkę energetyczną. Oprócz zakładania bądź modernizacji kuchni i suszarni montowane są urządzenia do ładowania osobistych urządzeń elektronicznych (akumulatorów, telefonów komórkowych, itp.) i multimedialne informatory. Na Turbaczu dużą salę sypialną na I piętrze zamieniono w Ośrodek Kultury Turystyki Górskiej, w „Jaśkówce” na Przehybie powstał podobny Ośrodek. W schronisku na Ornaku też zniknęły dwa pokoje na piętrze (te z widokiem na Błyszcz i Bystrą). Zamiast nich jest dziś obszerny „salonik wypoczynkowy”, pełniący w dzień rolę świetlicy, zaś wieczorem zamieniający się w dużą „glebownię” mieszczącą śpiących na karimatach. Dzięki temu nie ma już „glebowiczów” zapelniających wąskie korytarze sypialnej części schroniska. Możliwe, że nawet tak widoczne modernizacje schronisk nie spełniają oczekiwań niektórych osób odwiedzających petetekowskie obiekty. No cóż – nie muszą. Z mojego punktu widzenia, a chodzę po górach jakieś 45 lat, różnice w wyposażeniu i standardzie schronisk są ogromne, przy czym trzeba pamiętać, że modernizacje były prowadzone sukcesywnie. Teraz, to czy będzie w nich wygodnie, zależy w dużej mierze od nas – turystów, nie tylko od gestora, dzierżawców i personelu.

Juliusz Wyślouch



Pamiątka z Lurystanu

Iran w umysłach wielu rodaków budzi mieszane uczucia. I niekoniecznie mam na myśli osoby podpadające pod dowcip o dwóch blondynkach, z których jedna pyta drugą „to w końcu jak się mówi: Irak czy Iran?”. I nie bardzo jest się czemu im dziwić. Z jednej strony, wszechobecna propaganda stawiająca znak równości pomiędzy tym państwem a terroryzmem czy ortodoksją religijną, z drugiej zaś strony – udział w wieloletniej wojnie ze swoim zachodnim sąsiadem, jakże silnie wówczas nagłaśniane. Mało kto się dziś zastanawia, co było zarzewiem agresji i kto naszczuł arabski Irak na perski Iran, co w odczuciu niezorientowanych, w myśl zasady: skoro go okradli, więc uczestniczył w kradzieży, czyni ofiarę równą swemu oprawcy. Ale Iran także, a może przede wszystkim, to kraj niezwykłych świadectw historii starożytnej, jak choćby Persepolis. Przyznam, że i ja, wiedząc, iż jest to kraj muzułmański, nie liczyłem na jakieś szczególne (czy jakiegokolwiek) choćby maski. Wiadomo, w sztuce islamu nie przedstawia się wizerunków ludzi i zwierząt, co zazwyczaj przekłada się na ich brak w sztuce i kulturze. Na całe szczęście, podczas wykopalisk w Kalmakareh w Lurystanie wykopano kilka złotych masek z pierwszego tysiąclecia przed naszą erą, które z wyglądu przypominają te zakładane podczas karnawału w Wenecji. Jedna z nich znajduje się w Muzeum Narodowym w Teheranie, zaś jej wierna kopia (no, może z wyjątkiem samego pierwiastka) cieszy oko nie tylko moje, ale i moich gości.

Sobiesław Mazurski



Tatrzańskie przyziemie – case study

klapki
półbuty
trzewiki
sandały
szpileczki
tenisówki
adidasy
trampki
japonki
trapery
kozaczki
tekstyli

byle do przodu

Dolina Kościeliska

i nie tylko

Witów, 22 sierpnia 2008

Joanna Pociask-Karteczka

Polski chemik Wojciech Świętosławski

Był on niewątpliwie jednym z najwybitniejszych Polaków związanych z Politechniką Kijowską. Wśród czternastu wychowanków tej uczelni okresu przedwojennego, których biogramy zawiera *Słownik Biograficzny Techników Polskich* (wydawany już ponad dwadzieścia lat przez NOT), jest on czołową postacią.

Urodził się 21.06.1881 r. w majątku rodzinnym Kiryjówka koło Lubaru na Wołyniu jako syn Wacława – mierniczego i zarządcy dóbr, i Anieli z Rogozińskich. Otrzymał imiona Alojzy Wojciech. Ukończył klasyczne gimnazjum na Peczersku w Kijowie w 1898 r. i w tym roku rozpoczął studia w Kijowskim Instytucie Politechnicznym (KPI). Jako specjalność wybrał technologię farbiarską, a nieco później termochemię związków organicznych. Dał się poznać jako student pracowity i solidny. Angażował się w działalność polityczną. Był członkiem nielegalnej Korporacji Studentów Polaków – organizacji o orientacji socjalistycznej. Interesował się filozofią i ekonomią polityczną, w kółkach studenckich występował z odczytami na te tematy. W swoich wspomnieniach Świętosławski podaje, że kiedyś zwrócono się do niego o pomoc w przechowywaniu materiałów jednej z tajnych organizacji. Ponieważ był w dobrych stosunkach z rodziną, która mieszkała w domu komendanta posterunku policji, więc tajne materiały umieścił w koszu z bielizną w drewnianej komórce należącej do właściciela domu. Komendant nie podejrzewał, że ulotki, które znajdują w mieście jego podwładni, pochodzą z jego własnej komórki.

W 1905 r. Wojciech Świętosławski zrobił przerwę w nauce w związku z chorobą i śmiercią ojca. KPI ukończył jako inżynier chemik w 1906 r. Natychmiast został zmobilizowany do wojska. Jesienią 1907 r. wyjechał do Warszawy z zamiarem rozpoczęcia tu pracy nauczyciela w szkole średniej, ale eksperymentując w dziedzinie termochemii opracował oryginalną metodę matematycznej analizy wyników badań, dzięki czemu został zaproszony do KPI i tu w styczniu 1908 r. rozpoczął pracę asystenta w Katedrze Technologii Barwników. Jego samodzielne doświadczenia z termochemii związków organicznych i pierwsze publikacje zagraniczne, zawierające nowatorską tezę o zależności między charakterystykami energetycznymi i budową chemiczną molekuł ciał, zwróciły uwagę profesorów Uniwersytetu Moskiewskiego. Za zgodą kierownictwa KPI Świętosławski od początku 1911 r. rozpoczął pracę jako starszy asystent kierujący laboratorium termicznym Uniwersytetu Moskiewskiego. W 1912 r. zdał egzamin magisterski w Uniwersytecie Kijowskim (a więc poza poprzednim i aktualnym swoim miejscem pracy). W związku z tym w Uniwersytecie Moskiewskim przyznano mu etat docenta. Wykonując doświadczenia doszedł do wniosku, że należałoby prowadzić pomiary porównawcze w stosunku do jakiegoś wzorca, aby uniknąć każdorazowego stosowania nawet do dwudziestu poprawek. W 1914 r. opublikował w czasopiśmie Rosyjskiego Towarzystwa Fizykochemicznego artykuł, proponując przyjąć



jako wzorzec ciepło spalania kwasu benzoowego. Zagadnienie to Świętosławski wielokrotnie referował na gremiach naukowych i opisywał w artykułach. Obrona dysertacji Świętosławskiego na temat badań termochemicznych dwuazozwiązków odbyła się w Uniwersytecie Kijowskim 17.10.1917 r. Jego Wydział Fizyczno-Matematyczny przyznał mu, w drodze wyjątku, zamiast magistra od razu stopień doktora nauk. Był to drugi taki przypadek w Rosji. Dysertacja, wydana drukiem w Moskwie w tym samym roku, stała się ukoronowaniem okresu pracy Świętosławskiego w Uniwersytecie Moskiewskim, skąd odszedł z opinią wybitnego naukowca.

W czasie wojny Świętosławski uczył chemii i fizyki w trzech moskiewskich szkołach dla uchodźców. Po rewolucji został wiceprezesem Polskiego Komitetu Pomocy Ofiarom Wojny. Organizował repatriację polskiej młodzieży pięciu szkół średnich i piętnastu początkowych. Jako delegat tego komitetu w czerwcu 1918 r. wyjechał do Warszawy. Tu zaproponowano mu kierowanie Katedrą Chemii Fizycznej na Wydziale Chemicznym Politechniki Warszawskiej. Przyjął tę propozycję. Niebawem został dziekanem tego Wydziału, a uczelnią kierował jako jej rektor (1928-29), był też jej prorektorem (1929-32). Jednocześnie w latach 1918-29 prowadził wykłady w Uniwersytecie Warszawskim.

W 1919 r. został mianowany profesorem zwyczajnym. W stworzonym przez siebie laboratorium fizykochemicznym prowadził badania z termochemii, kalorymetrii, nad równowagami fazowymi i zjawiskami krytycznymi. Zapoczątkował nowe techniki pomiarowe: ebulliometrię, termometrię i tonometrię. Rozwinął azeotropię i odkrył poliazeotropię. Zaczął też badać fizykochemiczne właściwości węgla kamiennego i procesów koksowania. Skupiwszy wokół siebie takich jak on fascynatów nauki, stworzył w Warszawie polską naukową szkołę chemii fizycznej. Napisał podręcznik do chemii fizycznej w czterech tomach. Trzeci tom pod tytułem *Termochemia*, będący podsumowaniem bogatych doświadczeń autora, niebawem został wydany także po francusku i niemiecku. Wreszcie jego idea, by wzorcem fizykochemicznym uznać kwas benzoowy, została przyjęta przez Międzynarodową Unię Chemii Czystej i Stosowanej na konferencji w Lionie w 1922 r. Dzięki wprowadzeniu wzorca średni błąd pomiaru ciepła spalania substancji zawierających węgiel, wodór, tlen i azot zmniejszył się dziesięciokrotnie i nie przekraczał 0,03%.

Prof. Świętosławski działał w wielu krajowych i międzynarodowych towarzystwach naukowych. W grudniu 1935 r. został powołany na stanowisko ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego. W lutym 1937 r. przywrócił uczelniom autonomię, doprowadziwszy do zmiany ustawy z 1933 r. Spowodował utworzenie Rady Nauk Ścisłych i Stosowanych w celu koordynacji badań naukowych. Podwoił liczbę nominacji profesorskich. W latach 1935-39 był senatorem RP. Za swoje wybitne osiągnięcia został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Polonia Restituta (1925) i Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą tego orderu (1928).

Po wybuchu wojny Świętosławski wraz z rządem 17.09.1939 r. znalazł się w Rumunii, gdzie został internowany. W marcu 1940 r. wyjechał do USA. Prowadził wykłady z termochemii, ebulliometrii, kalorymetrii i fizykochemii węgla kamiennego w uniwersytetach w Pittsburghu i Iowa City. W lutym 1941 r. w Instytucie Mellona w Pittsburghu podjął prace badawcze nad przerobem smoły węglowej.

W listopadzie 1946 r. wrócił do Polski i rozpoczął pracę wykładowcy chemii fizycznej w Politechnice Warszawskiej (1947-51). Kierując tu Katedrą Chemii Fizycznej (1947-60) od nowa stworzył laboratorium fizykochemiczne, ponieważ w czasie wojny Niemcy zburzyli poprzednio istniejące. Jednocześnie kierował Zakładem Fizykochemii Głównego Instytutu Chemii Przemysłowej (1955-60). Stworzył Instytut Chemii Fizycznej PAN i był jego dyrektorem (1955-60). Był członkiem rzeczywistym PAN od jej powstania w 1952 r., działaczem Polskiego Towarzystwa Chemicznego i NOT. Napisał 380 publikacji specjalistycznych, opublikował ponad 50 artykułów w sprawach gospodarczych i społecznych. Uzyskał 46 patentów na wynalazki. Był twórcą szkoły naukowej, pedagogiem i wychowawcą młodzieży. Przygotował 20 profesorów, stu doktorów, kilkuset magistrów. Świętosławskiego wyróżniono nagrodami państwowymi (1951, 1953). Został odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski (1954, po raz drugi), Orderem Sztandaru Pracy I klasy (1955), Nagrodą Naukową Miasta Warszawy (1959), Złotą Odznaką Honorową NOT (1963). Otrzymał order siedmiu krajów, został doktorem honoris causa ośmiu uczelni.

Na emeryturę przeszedł w 1960 r. Zmarł 29.04.1968 r. i został pochowany w Alei Zasłużonych Cmentarza na Powązkach w Warszawie. Profesorowi Wojciechowi Świętosławskiemu w 2013 r. Politechnika Kijowska wzniosła na swoim terenie pomnik. Żoną była Maria z domu Olszewska (1881-1959). Córka Janina Żółkiewska była profesorem fizyki w Instytucie Chemii Przemysłowej (1947-1973).

Janusz Fuksa

Po południowym skraju Śląska

Zbójcecki napad Fryderyka II w 1740 r., inicjujący trzy wojny śląskie – aż do 1763 r., doprowadził do zagrabienia niemal całego Śląska przez Prusy. Tylko niewielka część ostała się w monarchii habsburskiej – księstwa karniowskie i opawskie oraz cieszyńskie, to ostatnie i tak podzielone granicą. Biegiem historii sytuacja utrwaliła się w postaci granicy czechosłowacko-niemieckiej i czechosłowacko-polskiej, co doprowadziło do nieszczęsnego konfliktu o Zaolzie. Pisano o tym na naszych łamach kilkanaście miesięcy temu. Częściowo załagodzenie przyniosło utworzenie czesko-polskiego Euroregionu Śląsk Cieszyński, co sprzyja wzajemnemu poznawaniu się społeczeństw w obu państwach i odbudowę relacji sąsiedzkich oraz rodzinnych przetrwanych istnieniem szczelnej granicy.

Doniosłą rolę odgrywa w tym, co wiadomo od dawna, turystyka, dlatego

też wszelkie kroki w tym zakresie należy uznać za bardzo ważne. Swój wkład wnoszą edycje przewodnika po Euroregionie – poszerzone w stosunku do poprzedniego. Czytelnik otrzymuje dobrą porcję wiedzy o środowisku przyrodniczym tego terenu, jego historii i gospodarce. Dalej następuje opis miasta podzielonego – Cieszyna i Cieszyna Czeskiego, a także pozostałego obszaru w układzie obniżenia – pogórza – góry. Istotnym uzupełnieniem jest wykaz cyklicznych imprez i swoiste novum w tego typu wydawnictwach, a mianowicie „Miniatlas Śląska Cieszyńskiego”. W charakterystycznym dla tego wydawnictwa kwadratowym formacie zamieszczono dość bogaty zestaw publikowanych źródeł, indeks i kolorowe wkładki z fotografiami. Jest co czytać i z czym poznawać Euroregion. Zachęcam!

Marcin Żerański: *Śląsk Cieszyński od Bielska-Białej do Ostrawy*. Cieszyn: Pracownia na Pastwiskach 2013, 312 s.

K. R. M.



Katalog kamiennych pamiątek

Człowiek od dawna upamiętniał rozmaite miejsce w przestrzeni – z różnych przyczyn: dla udokumentowania pobytu, zdobycia, wydarzeń. W tym ostatnim zakresie wyróżniają się osobliwe kamienne pamiątki, stawiane w miejscu czyjegoś zgonu (zwykle tragicznego i nieoczekiwanego) dla zachowania w pamięci danej osoby, ale też przez zbrodniarza-mordercę na miejscu zbrodni w ramach pokuty lub pojednania się z rodziną ofiary. Te ostatnie przybierały formę krzyża, wykonanego z będącego w zasięgu jakiegoś głazu lub kamiennej kapliczki. Często przypisuje się im własnoręczne wyciosanie (stąd prymitywne formy, będące zresztą też skutkiem zwietrzenia), na pewno też są one dziełem

rzemieślnika. W ostatnich latach też takie pojawiają się w miejscach przydrożnych wypadków. Ich szczególnie gęste wystąpienie notowane jest na Dolnym Śląsku (zwłaszcza w dawnym księstwie świdnicko-jaworskim) i przyległych Łużycach. Przyłgnęło do nich określenie krzyże pokutne, wprowadzone do obiegu przez Tadeusza Stecia w jego przewodnikach, aczkolwiek geneza ich – jak wspomniano, była różna. Pod nazwą tą zinwentaryzował je i intensywnie propagował nieodżałowany Andrzej Scheer, co stało się później przyczyną konfliktu z tragicznymi skutkami dla niego na tle m.in. prób upowszechniania nazwy krzyże kamienne. Ale kamienne są i współczesne!

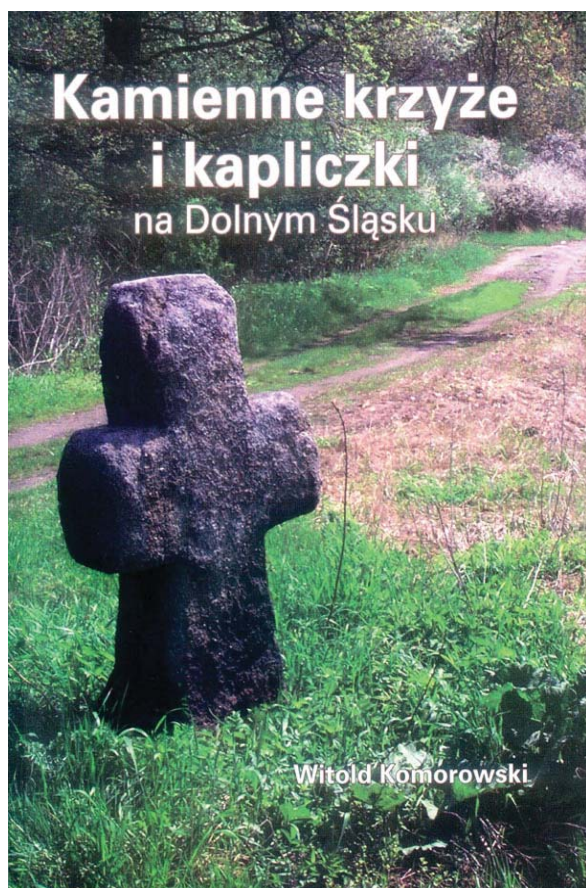
Grupa badaczy i miłośników owych intrygujących obiektów – ruchomych zabytków sztuki, ale i historii – zwłaszcza prawa, jest bardzo duża. Jeszcze więcej jest zwykłych turystów, którzy tylko po prostu zwracają na nie uwagi jako lokalnej ciekawostki. Dla ułatwienia im tego powstała prezentowana właśnie książka. Autor osobiście wszystkie je „zaliczył”, tworząc obszerny katalog fotograficzny – generalnie kolorowych zdjęć z nielicznymi czarno-białymi starszego pochodzenia. Posiadają one tylko krótkie opisy lokalizacyjne i dojsciowe, niewielka część nadto dane geograficzne. Całość poprzedzona jest rozszerzoną wersją artykułu, zamieszczonego na naszych łamach w

2010 r., który naświetla historyczno-prawno-obyczajowe tło powstawania owych obiektów. Edytorsko książkę należy ocenić wysoko. Brakuje jednak sensownego zestawienia literatury przedmiotu (oczywiście chodzi o najważniejsze tylko pozycje), jako że podanie niemal wyłącznie źródeł internetowych we wprowadzeniu to chyba trochę za mało. Szkoda też, że nie ma większych opisów poszczególnych krzyży, które mają udokumentowaną historię. Nie jest to więc praca na miarę monografii ze wschodnich Niemiec – może się kiedyś takiej doczekamy, ale też inne jest jej przeznaczenie. Powinna się ona znaleźć w bibliotece każdego dolnośląskiego krajoznawcy i każdego miłośnika krzyży pokutnych (!),

a i turyści muszą mieć ją w świadomości przy planowaniu swoich wycieczek po woj. dolnośląskim. Powinien w tym pomóc Wydawca, któremu należy się uznanie za to przedsięwzięcie.

Witold Komorowski: *Kamienne krzyże i kapliczki na Dolnym Śląsku*. Polkowice: (Wyd. Dolnośląskiej Wyższej Szkoły Przedsiębiorczości i Techniki) 2014, 225 s.

Krzysztof R. Mazurski



Nowe mapy

Od września w ramach cyklu **Wielkie Odkrywanie Dolnego Śląska**, do sobotnich wydań „Gazety Wrocławskiej” dołączane będą mapy dolnośląskich powiatów. Już **6 września** w prezencie pojawiła się mapa powiatu milickiego, a następane to: **13 września** – powiat trzebnicki, **20 września** – powiat oławski, **27 września** – powiat wałbrzyski, **4 października** – powiat oleśnicki, **11 października** – powiat średzki, **18 października** – powiat jeleniogórski, **25 października** – powiat lubiński, **8 listopada** – powiat legnicki, **15 listopada** – powiat polkowicki, **22 listopada** – powiat głogowski i **29 listopada** – powiat świdnicki.

Redakcja – A. R.

Dzieje Kowar. Zarys monograficzny do 2010 roku

Na początku br. ukazała się długo oczekiwana monografia *Dzieje Kowar. Zarys monograficzny do 2010 roku* pod redakcją W. Wereszczyńskiego. Została napisana przez zespół ludzi (13 autorów plus zespół wydawniczy plus opracowanie redakcyjne równa się 17 osób). Jej przygotowanie, które zaplanowano na dwa lata, zajęło aż lat trzy. W przedsięwzięciu wzięli udział przede wszystkim specjaliści od poszczególnych epok, dziedzin i zagadnień. Szkoda, że w ich gronie zabrakło K. Sawickiego i śp. Z. Brudniaka.

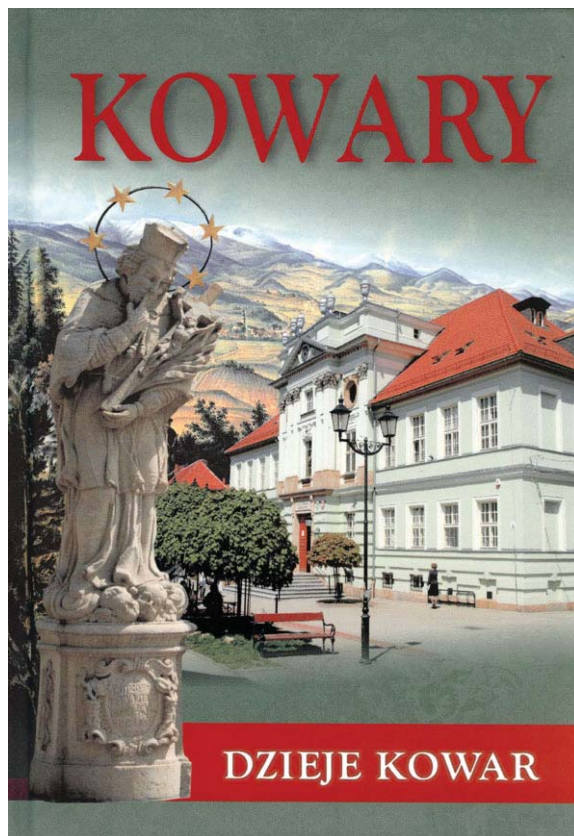
Praca ma charakter popularnonaukowy i – w aspekcie niektórych okresów historii Kowar – pionierski. Rozdziały opracowali konkretni autorzy, po czym redakcyjnie zespolono je w jedno dzieło. Całość podzielono na okresy historyczne, w każdym starając się zaakcentować wątki polityczne, społeczne, ekonomiczne etc. Dyskusyjne jest jednak wyodrębnienie rozdziałów o przełęczy Okraj jako granicy państwa, o sporcie w latach 1945-2010 oraz o ważniejszych inicjatywach kulturalnych i artystycznych po 1945 r., gdyż napisały je osoby niebędące czynnymi historykami. W wyniku tego np. w rozdziale o sporcie pojawia się wiele nieprecyzyjnych informacji. Lepszym rozwiązaniem dla Czytelnika byłoby rozdzielenie wspomnianych wątków na okresy historyczne i włączenie ich do chronologicznych rozdziałów pisanych przez czynnych historyków. Wyodrębnić natomiast można było np. rozdział poświęcony turystyce zgodnie ze *Strategią Rozwoju Miasta Kowary*, w której na s. 29 zapisano następującą wizję:

„Kowary – znane i gościnne miasto u wrót Karkonoszy, światowego rezerwatu biosfery, atrakcyjne jako ośrodek o zrównoważonych funkcjach gospodarczych, szczególnie turystycznych...”

Czytając tę monografię, widać, że była ona przygotowywana pod presją chwili, czyli 4.11.2014 r. – obchodów 500-lecia nadania Kowarom praw miejskich. Przykładowo w aneksie z nazwami ważniejszych ulic przed II wojną światową pomyłono nazwy niektórych z nich (Höhnestrasse to ul. Matejki, a nie Różana), innym przypisano nie obecne, lecz nazwy polskich ulic z 1945 r. (Paul-Högelheimerstrasse – „ul. H. Siemiradzkiego”? i Theodor Körnerstrasse – „ul. C. Godebskiego”). Niedociągnięcia widać także w końcowej części monografii. Uważam, że lata 90. XX w. mogły zostać szerzej omówione w „Dziejach Kowar”. W mojej opinii obecny horyzont (dystans) czasowy jest już dostateczny do ich obszerniejszego zaprezentowania. Ponadto, z pokolenia na pokolenie mnoży się ilość informacji, które generujemy i przyswajamy oraz szybkość ich przepływu, obszerniejsze pisanie o czasach nam bliższych jest więc nieuniknione.

Korzystniej dla jakości monografii byłoby, gdyby została ona rozdzielona na dwa tomy. Jeden mógł się ukazać np. 4.11.2013 r. czy też w lipcu 2014 r. (w miesiącu tym sto lat temu obchodzono 400-lecie nadania Kowarom praw miejskich), a drugi spokojnie kilka lat później. Wtedy Wiesław Wereszczyński, który zorientował się w trakcie pracy nad monografią, że Jemu i Jego Zespołowi potrzeba będzie znacznie więcej czasu, mógłby pracować nad książką znacznie dłużej, a nie kończyć wszystko pod presją czasu, prolongując termin ukończenia dzieła, a następnie mając naliczane karne odsetki. Poza tym, na sfinansowanie drugiego tomu mogłaby zostać pozyskana nowa pula środków, np. z Unii Europejskiej (okres programowania na lata 2014-2020). Mając dostateczną ilość czasu i pieniędzy, Autorzy mogliby wykonać pełne kwerendy w zagranicznych archiwach.

Niestety, „mleko się rozlało”, a „Dzieje Kowar” zostały wydane. Może warto, aby osoby bezpośrednio lub pośrednio odpowiedzialne za powstanie monografii zastanowiły się nad jej wydaniem drugim lub darmowym suplementem do niej sfinansowanym ze środków Unii Europejskiej, póki jest na to okazja?



Zbigniew Piepiora

Reportaż z Kaszub

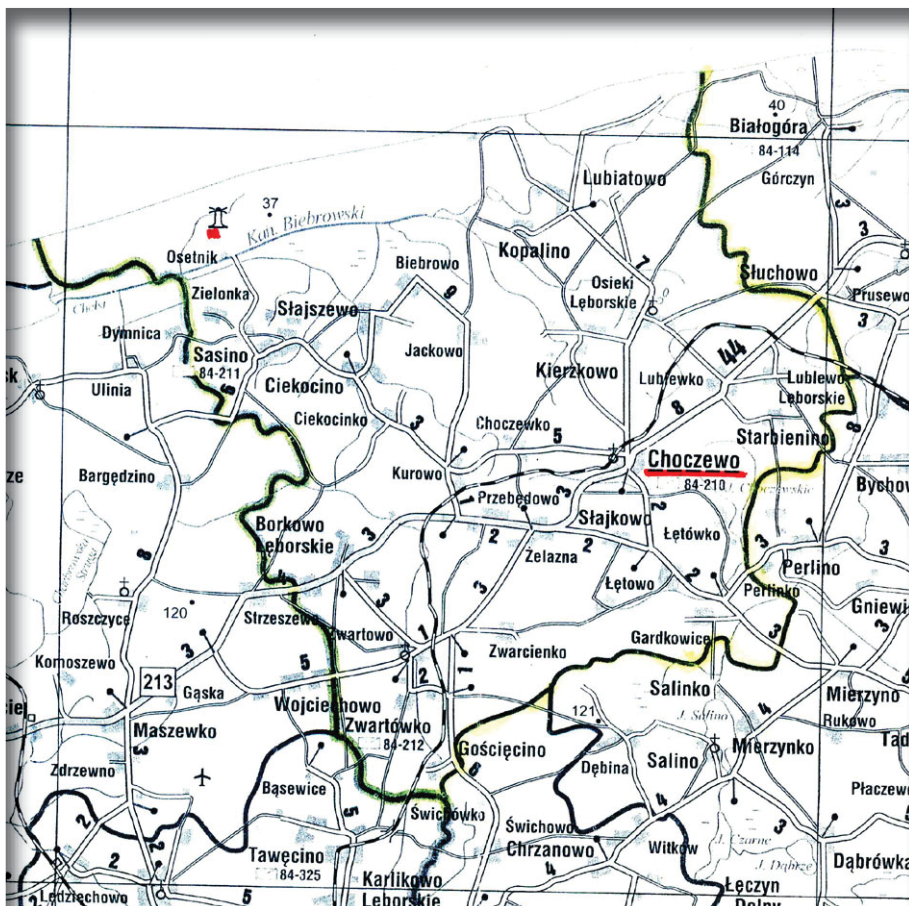
Chcecie wiedzieć, jak wygląda dzisiaj ziemia historycznych Wejherów i Przebendowskich – no to posłuchajcie.

Gmina Choczewo w pow. wejherowskim ma takiego historycznego pecha, że zawsze leżała na głębokiej prowincji – do 1939 r. w Niemczech, na granicy państwowej z Polską. W Choczewie zachował się na małym, bocznym dziedzińcu Urzędu Gminy granitowy słup graniczny z literami P – D, upamiętniający ją. Po 1945 r. gmina leżała na granicy województwa i regionu gdańskiego. Dalej na zachód był już region słupski i Kaszuby Zachodnie. Takie położenie powoduje, że zawsze podobny teren jest traktowany marginesowo. Pierwsza większa faza rozwoju gospodarczego przypadła na przełom XIX i XX w. Tezę tę łatwo udowodnić, zapoznając się z budownictwem dworskim, wymienianym w lokalnym przewodniku turystycznym Jarosława Ellwarta Choczewo i okolice”. Dla przykładu: można je podziwiać w takich miejscowościach, jak Kurowo (1870), Choczewo (1888), Łętowo, Słajkowo czy Zwartowo. Jest jeszcze wiele innych dworów i pałaców, które trzeba odwiedzić, np. pałac w Sasinie (ok. 1860 r.).

Druga faza dobrobytu gospodarczego przyszła na przełomie lat 80.-90. XX w. Nowe oblicze tej ziemi przyniosła zupełnie rewolucyjna zmiana gospodarcza, a mianowicie: specjalizacja letniskowa i wczasowiskowa. A wymaga ona zaoferowania przybyszom dwóch rzeczy: noclegów i wyżywienia. I na taką formę gospodarowania gm. Choczewo zaczęła się stopniowo przestawiać. Dla przykładu, DW „Latarnik” z osiemnastoma pokojami w Sasinie funkcjonuje od 2006 r. Ale najpierw trzeba go było zbudować, bo jest to obiekt całkowicie nowy, stąd to dziesięcioletnie przesunięcie czasowe. Na tym nie koniec. Ta sama specjalizacja wczasowiskowa wymaga działań budowlanych, a zatem nowego budownictwa lub remontowanych przeróbek i unowocześnień dawnych obiektów wiejskich. I takie też zjawisko obserwujemy, chodząc po wsiach pasa nadmorskiego, a w szczególności (idąc od zachodu): Osetniku, Sasinie, Słajszewie, Kopalinie i Lubiato. Aby budować i remontować, potrzebne są fachowe firmy rzemieślnicze: budowlane, handlowe, transportowe, instalacyjne i sanitarne, i takie też w całej gminie istnieją – co widać po wiszących na płotach reklamach, gdzie cechą charakterystyczną jest nie nazwa firmy, tylko telefon komórkowy.

W architekturze wspomnianych wsi objawia się to w trzech typach obiektów:

1. Stare domy, jeszcze ponie mieckie, przeważnie parterowe, często bliźniacze, czasem odnowione, a przy nich stare obory i stodoły. Te także częściowo przeznaczono na cele mieszkalne



dla letników. Sam w takim nocowałem w Lubiawie. Można także zobaczyć duże stodoły przejazdowe, całkowicie przerobione na pokoje dla wczasowiczów, np. w Sasinie i Słajszewie

2. Domy poniemieckie, XIX-wieczne, odnowione i w większości przygotowane do przyjmowania wczasowiczów. Dobrym przykładem może być dom przy ul. Cisowej 9 w Sasinie, który, choć staroświeckiej konstrukcji szkieletowej, parterowy i z wyżką, prezentuje się świetnie i nie tylko przyjmuje, ale i żywi letników.
3. Obiekty już powojenne, polskie, prywatne, przeznaczone na cele wypoczynkowe. W niektórych przypadkach na frontonie widnieje rok budowy. Wiele obiektów stoi jednak pustych lub do sprzedania. Rozmawiałem z mieszkańcem, który postawił sobie dom jednorodzinny, ładny i przyjeżdża do niego co dwa lata.

Także nowe obiekty sakralne pojawiają się w tym okresie rozwoju regionu i są to piękne, nowoczesne przykłady architektury sakralnej, np. w Choczewie, Sasinie i Kopalinie. Kościół parafialny w Sasinie poświęcił 14.04.2007 r. biskup pelpliński Jan Szlaga.

Trzecią domeną wczasowiczów, obok spania i odżywiania się, jest imprezowanie. Także i w tej dziedzinie ziemia chocewska stara się pokazać, organizując przykładowo takie imprezy plenerowe, jak:

- Festyn Kaszubski na latarni Stilo,
- Piknik Kaszubski w Kopalinie,
- Zawody hippiczne w Stadninie Koni w Ciekocinku,
- Piknik „Spotkajmy się w Lubiawie”.

I wreszcie specjalność turystom najbliższa, agroturystyka. Gospodarstwa agroturystyczne znajdują się dosłownie wszędzie, ale autor wspomnianego przewodnika wymienia szczególnie takie, jak w Borkowie, Ciechocinie, Choczewie, Gościęcinie, Kierzkowie, Kopalinie, Lubiawie, Sasinie, Słajszewie. Osobnym tematem, który wypada prześledzić, jest historia najnowsza tej ziemi. Zaczniemy od osadnictwa polskiego, które po Traktacie Poczdamskim musiało nastąpić. Większość osadników przyjechała na te tereny z Lubelskiego. „Przyjechałam wraz z mężem w r. 1947 z Wysokiego [wieś leżąca między Kraśnikiem a Krasnym Stawem, wojew. lubelskie – JZ]. Objęliśmy gospodarstwo rolne. Mieliśmy dwa konie i dwie krowy. Bum budowlany w Sasinie, związany z jego funkcją wypoczynkową, rozpoczął się na przełomie lat 1980-1990, wtedy kiedy już można było wykupywać prywatne działki budowlane.” – powiedziała mi pani Godulowa z Sasinowa.

Od samego początku polskiej administracji obsługę latarni morskiej Stilo w Osetniku przejęli nasi fachowcy, a długoletnim latarnikiem (1952-2012) był Romuald Łozicki. W sobotę 2.07.2014 r. odbyło się odsłonięcie jego popiersia przy wejściu do tej latarni, a grób można znaleźć na cmentarzu w Sasinie. Znajduje się tam także niewielka grupa nagrobków niemieckich. Prezentują się estetycznie oddzielone rzędem zielonych tui. Wreszcie współczesność. A współczesność to maksymalne, wręcz bałaganiarskie zagospodarowanie turystyczne. Niesłychana sieć szlaków i tras turystycznych. Każdy, kto weźmie do ręki aktualną mapę terenu (Gmina Choczewo, 1:45.000, wyd. ExpressMap, Warszawa 2014) zauważy tę mnogość. Ja postaram się tylko wymienić ich nazwy i rodzaje:

1. Szlak Nadmorski Bałtycki, znakowany przez PTTK (kolor czerwony). W Osetniku są na nim PTTK-owskie drogowskazy.
2. Międzynarodowy Szlak Rowerowy wokół Bałtyku R-10.
3. Sieć tras rowerowych leśnych, znakowanych specjalnie strzałkami metalowymi przez Lasy Państwowe. Według najnowszych informacji, „drogowskazy z sylwetką roweru na białym tle i czarnymi nazwami miejscowości, są własnością Urzędu Gminy Choczewo” (Pismo Nadleśnictwa Choczewo, znak Z-735-27/2014 z 19.08.2014 r.).



Słup graniczny w Choczewie.

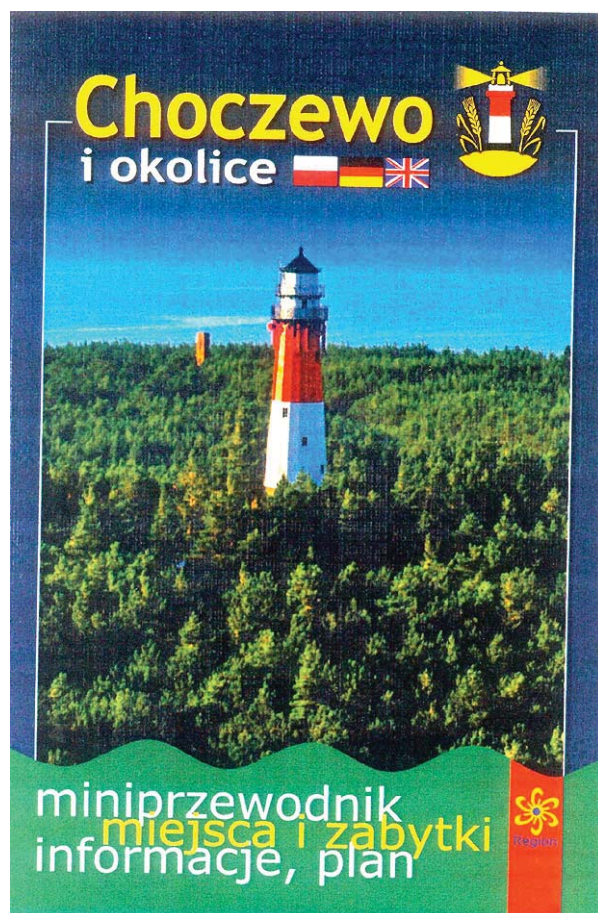
Fot. A. Wiśniewski

4. Trasy konne, znakowane czerwoną podkową, malowaną bezpośrednio na drzewach przez Lasy Państwowe; jest ich w sumie dziewięć i mają one swoje nazwy, np. wrzosowa, dębowa, borówkowa.
5. Trasy Stowarzyszenia Nordic Walking Park Wejherowo. „To 6 tras o zróżnicowanym stopniu trudności, przeznaczonych zarówno dla osób rozpoczynających swoją przygodę z Nordic Walking, jak również dla tych, którzy szukają wyzwań o charakterze sportowym” (Mapa propagandowo-ilustracyjna, Metropolitarne Forum NORDA). Znakowane kolorowo sylwetką płynącego(?) człowieka.

Na koniec zapytacie mnie, czy spotkałem turystów? Otóż turystów pieszych wcale, ani na łądzie, ani wzdłuż plaży. Natomiast ogromny natłok ludzi poruszających się na rowerach. Ale czy są to turyści-kolarze, czy tylko wczasowicze, korzystający z kempingów i pól namiotowych, które są wszędzie, trudno ocenić. Raczej to drugie, sądząc po doczepionych do rowerów specjalnych wózków do przewozu małych dzieci.

To tyle wiadomości uzyskałem idąc w pasie polskiego wybrzeża Bałtyku.

Janusz Zaremba

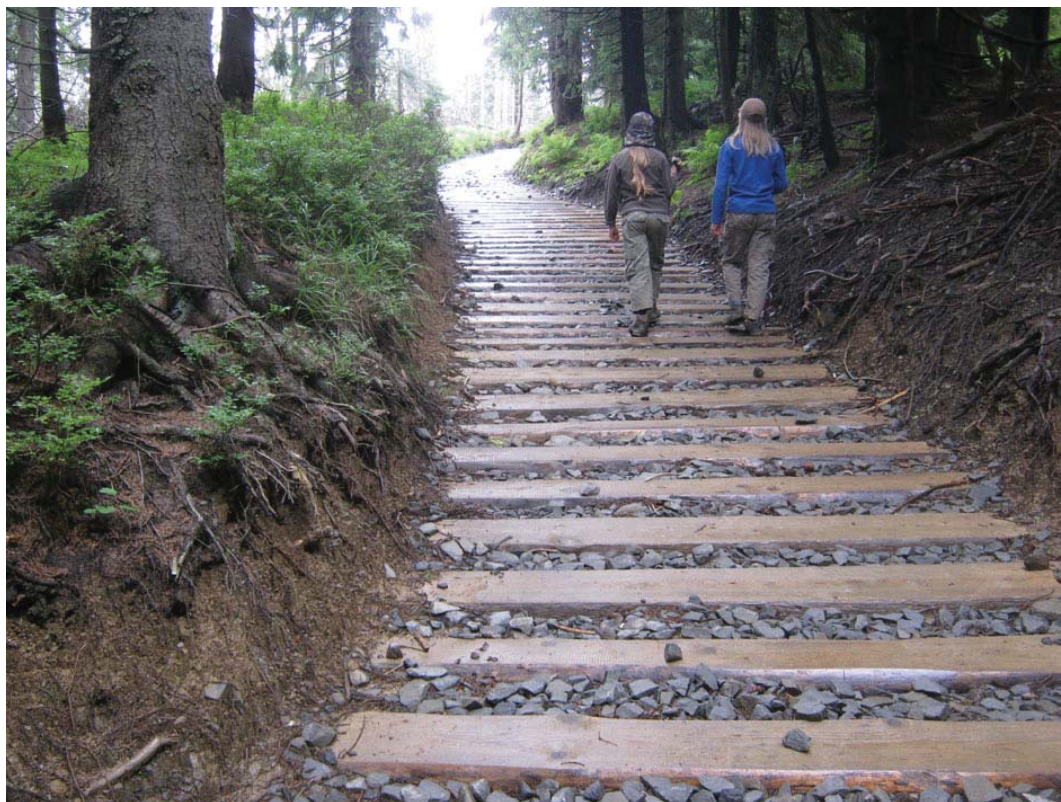


Będzie tramwaj na Jaworzynę?

Dotychczas uważałem Gorczański Park Narodowy za sprzyjający turystom i turystyce – tej prawdziwej. Przed laty udostępniono pieszym i rowerzystom ścieżki i stokówki na jego terenie, uzupełniając sieć szlaków petetekowskich. Także i ja korzystałem z nich w miarę możliwości, czy to na piechotę, czy na rowerze, czy na śladówkach. Niestety, GPN dopadła choroba „udostępniania Parku dla zwiedzających”. To moda ostatnich dwudziestu już lat, a parki narodowe prześcigają się w owym „udostępnianiu”. Na szlakach pojawiły się schody, barierki, poręcze i inne cuda, tak jakby bez tego nie dało się przejść. Tak zamieniono babiogórską Sokolicę w taras widokowy niczym w 5-gwiazdkowym hotelu, naturalne ścieżki zamieniono w chodniki, a turystów w „zwiedzających”. Choroba ta załęgła się w Gorcech, na szczęście tylko w części zawiadywanej przez GPN. Udało się zepsuć parę odcinków szlaków wiodących od ponad stu lat górkimi ścieżkami. Już kawałek po wyjściu z przeł. Przysłop w kierunku Kudłania trafiłem na drewniane schody. No, nieźle, pomyślałem. Ciekawe, co będzie dalej. Dalej nie było źle, na pięknym szlaku wiodącym grzbietowymi polanami spotkałem estetyczne i sensowne tablice edukacyjne – niech sobie będą. Nie ukrywam, budzą zainteresowanie turystów i dobrze. I byłoby dobrze, gdyby na tym się skończyło. Kolejnego dnia gorczańskiej wyprawy poszliśmy na Jaworzynę Kamienicką. No i stało się. Pewno niektórzy już się domyślają. Oto odcinek zielonego szlaku przez Jaworzynę w kierunku Gorca wyłożono drewnianymi balami, a jest ich, w kilku odcinkach, ponad 1500! Pierwsze skojarzenie było takie: są już podkłady, pewnie położą szyny i zbudują tramwaj albo kolejkę.

W Gorce zaglądam dość regularnie od mniej więcej połowy lat 70. XX w. Pamiętam doskonale owce na halach (polanach), szalasy, których już nie ma, a przede wszystkim szlaki, ścieżki i drogi. W ciągu ponad stu lat istnienia gorczańskiej turystyki wędrowano po tychże ścieżkach i drogach bardziej lub mniej wygodnie przyjmując wszelkie niewygody – rozległe kałuże, młaki, błoto za coś absolutnie normalnego

i naturalnego. Ba, stanowią te elementy część turystycznej przyrody. Teraz w majestacie prawa niektóre odcinki szlaków zamienia się w sztuczne i nikomu niepotrzebne twory. Tymczasem, jak głosi jeden z punktów Regulaminu GPN, na terenie Parku zabronione jest między innymi: **użytkowanie, niszczenie,**



umyślne uszkodzanie, zanieczyszczanie i dokonywanie zmian obiektów przyrodniczych, obszarów oraz zasobów, tworów i składników przyrody. No tak, ale to jest wyjątek z regulaminu dla... Zwiedzających. Tak więc Tobie, turysto nawet na siku zejść ze ścieżki nie wolno, a instytucji mającej chronić przyrodę wolno wszystko, nawet wolno rozpruć pradawną górską dróżkę i wyłożyć ją belkami! Jestem ciekaw, jak to wyglądało. Czyżby robiono to ręcznie i konikiem, czy wjechały tu maszyny ze swoim warkotem silników i spaliniami? Czy nie zniszczono naturalnego już elementu krajobrazu, czy nie zmarnowano pieniędzy?

Tak sobie myślę, że owe programy, projekty, granty (Unia płaci) powodują, że niektóre instytucje nie wiedzą, co zrobić z pieniędzmi. To ja podpowiadam Parkom Narodowym, leśnictwu i innym państwowym służbom. Za te pieniądze, co to podobno Wam brakuje, utwórzcie etaty w różnych strażach i policjach, i przegońcie wreszcie z lasów, polan i hal, górskich ścieżek i dróg quadowców i motocyklistów! My, turyści będziemy Wam wdzięczni.

Juliusz Wystouch

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**
Sekretarz Redakcji: **Andrzej Rumiński**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński**
Webmaster: **Piotr Dacko, Anna Zygmata**
Stale współpracują: **Juliusz Wystouch**



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adyustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931